

Sudecka
poezja i proza

IV

Sudecka
poezja i proza
IV

Jan Sitnik

Sudecka
poezja i proza

Wspomnienia
z Kosowa Huculskiego

BIBLIOTHECA
BIELAVIANA

2013

Redakcja
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

Korekta
Urszula Ubych

Skład i łamanie
Anna Węclewska

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Paulina Wojciechowska-Cudak

Wspomnienia z Kosowa Huculskiego

© Copyright by Bibliotheca Bielaviana
Bielawa 2013

ISBN 978-83-936827-3-7

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Stefana Żeromskiego 43
www.bibliothecabelaviana.com, www.mbp.bielawa.pl
e-mail: bibliothecabelaviana@gmail.com

Od Autora

Urodziłem się 30 października 1929 roku w Kosowie Huculskim, w województwie stanisławowskim, jako trzecie dziecko Magdaleny i Józefa Sitników. Dwoje z rodzeństwa to siostry: Maria, starsza o trzy lata oraz Emilia, starsza o siedem lat.

Mieszkaliśmy na obrzeżach miasta przy ul. Rożnowskiej 74. Dom składał się z kuchni, dwóch pokoi, spiżarni oraz dwóch przedpokoi. Posiadał piwnice oraz strych. Dach kryty był blachą ocynkowaną. Wodę zapewniała studnia, z której korzystał sąsiad Żyd, Mendel Finder.

Rodzice prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Ojciec zajmował się też kuśnierstwem. Wyprawiał na białą skórę baranie, z których szył kozuchy i kiptary (według górali serdaki) głównie na wioski: Stary Kosów, Wierzbowiec, Chomczyn i sporadycznie Rożnów. W szyciu pomagała również mama. Oprócz kozuchów zwanych „bajbarakami” i kiptarów w formie standardowej szyto też ozdobne, przeważnie dla par zawierających małżeństwo. Stąd pochodził główny dochód, z którego w 1938 roku przebudowano stary dom. Ja i siostry uczęszczaliśmy do szkoły. Najstarsza siostra Emilia po ukończeniu szkoły podstawowej przez krótki czas zajmowała się wraz z kuzynem Marcinem Wołoszczukiem wyrobem kilimów. Ze względu na kurz unoszący się z włóczki, który powodował częste zapalenie spojówek, musiała zrezygnować z tej pracy i w 1937 roku zaczęła naukę krawiectwa u pani Adeli Olesiuk.

Kosów Huculski otrzymał taką nazwę dla odróżnienia od Kosowa Laskiego i Podlaskiego. Był miastem powiatowym. W 1939 roku liczył około 11 tys. mieszkańców różnej narodowości, w przeważającej części ukraińskiej, polskiej, żydowskiej i ormiańskiej. Pojedyncze rodziny były pochodzenia niemieckiego i rumuńskiego. Od Lwowa, w kierunku południowym, odległość wynosiła 300 km. Od Kołomyi 35 km, a dalej do Kut 9 km nad Czeremoszem, który był rzeką graniczną między Polską i Rumunią. Miasto rozciągało się pasem szerokości 300-400 m na długości około 3 km na lewym brzegu rzeki Rybnicy ze wschodu na zachód. Od wschodu, od starego Kosowa, przez właściwe miasto w kierunku zachodnim, przez byłe wsie Monastersko i Horod. Szerokość miasta ograniczała od południa rzeka, a od północy wzgórze wraz z górą zamkową, zwaną potocznie Miejską Górą, wysoką na około 100 m. Miejska Góra to bardzo strome, skaliste zbocze, na którym niegdyś wznosił się zamek założycieli miasta rodu Kossakowskich. Oni też byli fundatorami pierwszego modrzewiowego kościoła. Dawniej osada Rybno otrzymała miano Kosów. Działo się to na przełomie XV i XVI w. Obecność zamku umożliwia rozwój osady i przekształcenie jej w miasto. W początkach lat trzydziestych włączono do miasta dwie wsie, Moskalówkę i Smodną, leżące na prawym brzegu rzeki Rybnicy.

W wyniku wojen i najazdów Wołochów i Tatarów obydwa obiekty, jak i wiele innych budynków, uległy całkowitej zagładzie. Z kamienia zrujnowanego zamku zbudowano w rynku szkołę, a na górze cokolwiek uwieńczony krzyżem. Zachowała się fosa okalająca niegdyś zamek, która posłużyła za masowy grób dla około 2500 Żydów rozstrzelanych przez Gestapo w dwudniowej akcji w czerwcu 1943 roku.

Kościół zbudowany w 1771 roku w stylu gotyckim ufundował hetman Tadeusz Dzieduszycki. Wzniesiony na wzgórzu moskalowieckim był pw. Matki Boskiej Różańcowej. Został jednak zburzony przez komu-

nistów w latach 1970-71, potem na tym miejscu wybudowano szkołę.

Na początku lat 1946-47 w kościele urządzano przedstawienia teatralne. Później miejsce to zamieniono na magazyn, który nocą był pilnowany przez uzbrojonego strażnika. Na wieżyczce kościoła, w której była umieszczona sygnaturka, zamocowany był metalowy krzyż przytwierdzony śrubami do konstrukcji wieży. Komuniści chcieli dyskretnie usunąć krzyż, więc w tajemnicy wpuszcili ochotnika, który zobowiązał się go zdemontować. Nocą wszedł on na wieżę i zaczął odkręcać śruby. Ponieważ były one trochę zardzewiałe, zaczął w nie stukać. Usłyszał to strażnik, a nie wiedząc o niczym, pomyślał, że to złodziej i zaczął strzelać. Przestraszony ochotnik zszedł z wieży, wyszedł z kościoła i tak sprawa się wydała. Drugiego ochotnika nie znaleziono, więc liną owinięto wieżę, którą ciągnik zerwał, zostawiając dziurę w dachu. Opady deszczu spowodowały pęknięcie sklepienia. Magazyn zlikwidowano, a kościół zburzono. Uratowano z niego figury świętych z ołtarzy oraz obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Figury i obraz aktualnie znajdują się w nowo wybudowanym kościele pod tym samym wezwaniem.

Zanim wybudowano nowy kościół, oddany w 2009 roku, wyremontowano kaplicę cmentarną, którą w 1991 roku konsekrowano na kościół. Budynek kaplicy był zawilgocony, gdyż przed oddaniem go Polakom mieścił się tam warsztat ślusarski, a w krypcie grobowej była woda do hartowania i chłodzenia rozgrzanych elementów metalowych. Zawilgocenie powodowało odpadanie tynku oraz gnicie podłogi. Dlatego zamiast ciągłych remontów wybudowano obok plebanii nowy kościół. Przy kościele zorganizowano pomieszczenia mieszkalne dla proboszcza, a plebanię przekazano siostrze zakonnej. Z odzyskaniem plebanii były kłopoty, gdyż w jej murach mieścił się sierociniec. Władze ukraińskie miały problem z nową lokalizacją sierocinca. Do parafii grekokatolickiej przysłano młodego księdza do pomocy już urzędującemu. Ponieważ nie miał gdzie mieszkać, uzgodniono, że przejmą plebanię do spółki. Na parterze miał pomieszczenia ksiądz greko-katolicki, a rzymsko-katolicki na piętrze. Wspólne starania przyniosły pożądany skutek. Plebanię oddano, ale mocno zdewastowaną. Wymagała kapitalnego remontu, począwszy od wymiany tynków, podłóg, okien, instalacji elektrycznej, wykonania ogrzewania c.o. oraz doprowadzenia wody. Potrzeba było na ten cel ogromnych nakładów finansowych. W międzyczasie

Ukraińcy znaleźli dom dla swego księdza i odstąpili od remontu. Polacy, żeby odzyskać całą plebanię, musieli zapłacić 500 dolarów amerykańskich odstępnego. Dzięki hojności ludzi dobrej woli w dwóch zbiórkach zebrano potrzebne sumy na remont oraz zakupiono i dostarczono: organy elektryczne, żyrandole, figury Chrystusa Zmartwychwstałego i do Bożego Grobu, dzwonki, kadzielnicę z łódką na kadzidło, stacje drogi krzyżowej oraz dzwon ufundowany przez panią Annę Lewicką z Londynu i pana Kazimierza Finika z USA.

Kosów posiadał cztery budynki szkolne, dwa w śródmieściu i dwa w dzielnicy Moskalówka. Językiem wykładowym był język polski z obowiązującym ukraińskim. W szkołach wiejskich językiem wykładowym był ukraiński z obowiązującym polskim. W 1938 roku powstało gimnazjum. Żydzi posiadali swoje gimnazjum.

W roku 1938, w czasie wakacji, do Kosowa przyjechali studenci z Lwowa, zwani akademikami. Byli to członkowie „Falangi” - organizacji faszystowskiej. Po ich przyjeździe zaczęły się pojawiać afisze antysemityczne. Żydzi je zrywali. Nie pamiętam, kto rzucił hasło obrony tych afiszy. Zaczęto pilnować, by nie były niszczone. My, uczniowie, rozchodziliśmy się do miejsc, gdzie były one przyklejane i pilnowaliśmy je przed zerwaniem. Pomimo iż byliśmy dziećmi, żaden Żyd, młody czy dorosły, nie ośmielił się zerwać przy nas tych afiszy.

Wystąpienia akademików przeciw Żydom narastały z dnia na dzień. Zdarzały się pobicia, wybijanie szyb wystawowych w sklepach, ale nigdy policja nie zdołała złapać winnych. Oddział akademików, maszerując przez miasto, przeważnie w piątek i sobotę po południu, śpiewał piosenki antysemityczne. Dwie z nich pamiętam do dziś.

1.

Poszły żydki na łowy, aj waj bum
Wzięły tyczki grochowe, aj waj bum, tarasa, aj waj bum
Zobaczyli dziecięcia, aj waj bum
Obstąpili dokoła, aj waj bum, tarasa, aj waj bum
Dzieciół roześmiał się w głos, aj waj bum
Puścił żydkom coś na nos, aj waj bum, tarasa, aj waj bum
Jak się rabin narodził, aj waj bum
Cały Kosów zasmrodził, aj waj bum, tarasa, aj waj bum

2.
 Powstań Orle Biały, kajdany skrusz,
 Powstań i z niemocy swojej się lecz.
 Walcz dzielnie z Żydami i garbonosymi,
 aż pójdą precz.
 Głodnych twoich dzieci rozbrzmiewa jęk.
 Z nędzy Polakowi bieleje włos.
 A Żyd się rozpiera, chleb nam z ust wydiera,
 nabija trzos.
 Panoszy się w Polsce żydowski gad.
 Wiarę chce nam wydrzeć, honor i wstyd.
 Naród poniewiera, Ojczyznę rozbiera,
 plugawy Żyd.
 Powstań Orle Biały, kajdany skrusz.
 Powstań i z niemocy swojej się lecz.
 Walcz dzielnie z Żydami i z szabes gojami,
 aż pójdą precz.

Wszystko to Żydzi znosili, ale bojkotu w handlu znieść nie mogli. Przejawiał się on w ten sposób, że przed każdym sklepem żydowskim stało dwóch akademików i jeżeli ktoś chciał wejść do środka, oni grzecz-



1994 r., Kosów Huculski, Polski Dom Ludowy, widok współczesny, fot. Arch. Jana Sitnika

nie, ale stanowczo nie wpuszczali, pokazując, gdzie są sklepy polskie czy ukraińskie. Trwało to około trzech tygodni. Handel żydowski przestał istnieć. Delegacja żydowskich kupców interweniowała u starosty oraz burmistrza. Cel osiągnęli. Po upływie dwóch miesięcy akademicy wyjechali z Kosowa. W czasie okupacji niemieckiej wobec tragedii, jaką przeżywali Żydzi, z antysemityzmu wśród Polaków nie zostało nic. Pomagaliśmy im w miarę swoich możliwości.

Opiekę lekarską (finansowaną również przez Kasę Chorych) zapewniał szpital powiatowy z dyrektorem Ciszką – chirurgiem, doktorami Tobiczkiem i Libhartem – internistami oraz innymi lekarzami, którzy mieli gabinety prywatne o specjalnościach: internistycznej, stomatologicznej, okulistycznej i chorób skórnych.

Żydzi posiadali okazałą synagogę spaloną przez Niemców w 1942 roku. Rabinem był niejaki Hegler. Natomiast Ukraińcy posiadali cerkwie greko-katolickie na Moskałówce i na Monastersku, nie licząc wiosek. Miejska cerkiew spłonęła jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości i do wybuchu wojny w 1939 roku nie zdołano jej odbudować.

Ukraińcy mieli również Narodnyj Dim, który był placówką kulturalną z salą widowiskową i biblioteką. W 1937 roku nacjonałści spalili go i oskarżyli Polaków o celowe podpalenie. Strażak Poncak - szwagier naszego sąsiada Kazimierza Wołoszczuka - opowiadał, że gdy przyjechali do pożaru, to widać było przez okna piramidę ułożoną ze stołów i krzesel, która paliła się jak pochodnia. Ponieważ budynek był drewniany, nietynkowany, ogień błyskawicznie się rozszerzał. Dom był nie do uratowania. Straż polewała wodą sąsiednie budynki, chroniąc je przed zapaleniem się.

W latach 1934-35 wzniesiono okazały Polski Dom Ludowy na miejscu poprzedniego drewnianego, który spłonął. Była w nim sala widowiskowa, w której gościnnie występował teatr ze Stanisławowa. Odbýwały się w niej też zabawy i akademie. Mieściła się tam także siedziba organizacji klubu sportowego „Strzelec” oraz KSM – Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Młodzież zrzeszona w KSM często wystawiała sztuki teatralne oraz organizowała akademie związane z rocznicami patriotycznymi. Treścią ich były pieśni patriotyczne i deklamacje połączone z krótkimi inscenizacjami. Młodzież szkolna była zorganizowana w ZHP, w dru-

zynach żeńskich i męskich. Brały one czynny udział w marszach podczas świąt państwowych. W Polskim Domu klub sportowy „Strzelec” z sekcją piłki nożnej i siatkówki skupiał młodzież uprawiającą sport. Dla młodzieży KSM organizowano wycieczki krajoznawcze w góry, do Żabiego, Burkutu (do wód żelazistych), Uścieryk, gdzie łączył się Czeremosz Biały z Czeremoszem Czarnym. Można było podziwiać przełom Czeremoszu, niczym nie ustępujący przełomowi Dunajca w Pieninach.

Parafię rzymsko-katolicką od 1936 roku prowadzili ojcowie franciszkanie z klasztoru w Sanoku. Gwardianem był Eugeniusz Węgrzyn, katechetą o. Kożuszek, a wikarym o. Benedykt.

W Kosowie był również dom organizacji gimnastycznej „Sokół” z dużą salą widowiskową oraz kręgielnią. Można tam było uprawiać gimnastykę ogólnorozwojową oraz przyrządową. Na terenie posesji „Sokół” odbywały się często festyny z loterią fantową.

W kinie przez sześć dni w tygodniu wyświetlano filmy po jednym seansie, a w niedzielę po dwa.

Nowoczesny basen kąpielowy oraz kąpieliska w kryształowo czystych wodach Rybnicy pozwalały na uprawianie sportów wodnych, między innymi u podnóża skalistego wodospadu „Huk”.

Restauracje Sawickiego, Trochanowicza, Manogiewiczza oraz zajazdy Fernbacha, Steinera i Fibera zapewniały smaczne i różnorodne posiłki. Kawiarnie organizowały dancingi w każdą sobotę i niedzielę. Najpopu-



1936 r., Kosów Huculski, wodospad „Huk”, od lewej: kawiarnia z tarasem dla tań-
cących, w głębi stary most Salinarny, fot. Arch. Jana Sitnika

larniejsza była kawiarnia „Nad Hukiem”. Usytuowana na skale, nad wodospadem „Huk”, umożliwiała z wiszącego tarasu podziwianie piękna gór oraz obserwowanie nurtu bystrej i spienionej wody. U stóp wodospadu na długości kilkudziesięciu metrów była głębia, po której można było pływać kajakami. Wieczorem całą dolinę i wodospad oświetlały kolorowe lampy, które podświetlały rozbryzgującą się na skałach wodę, stwarzając piękny, wprost bajkowy widok. Powyżej wodospadu znajdował się pensjonat „Na Skale” wzniesiony nad pionowo opadającą skałą, pod którą była głęboka woda, a w niej pstrągi i klenie. Letnicy mieszkający w tym pensjonacie z balkonów podziwiali pływające ryby. Tam też odławiano je i sporządzano posiłki.

Do roku 1910 czynna była kopalnia soli, która została zalana na skutek obfitych ulewnych deszczy oraz usunięć ziemi. Na miejscu szybu zbudowano warzelnię soli, zwaną „Saliną”, wykorzystując solankę z zalanej kopalni.

Lewobrzeżną część miasta z prawobrzeżną łączyły trzy mosty: most tzw. Kucki – łączący Kosów z Kutami nad Czeremoszem, most śródmiejski oraz Salinarny. Oprócz mostów były dwie kładki – mostki dla pieszych. Jedna koło Fibera, a druga koło Szuldysa. Dwa pierwsze mosty oparte na solidnych filarach dzielnie opierały się często wezbranym bystrym wodom Rybnicy. Natomiast Salinarny i kładki często były zmywane, gdy poziom wezbranej wody osiągał kilka metrów. Zdarzało się,



1938 r., Kosów Huculski, most Salinarny, widok od strony południowej, w głębi na
lewo basen kąpielowy, fot. Arch. Jana Sitnika



1938 r., Kosów Huculski, kuracjusze w czasie ćwiczeń gimnastycznych w zakładzie dra Apolinarego Tarnawskiego, fot. Arch. Jana Sitnika

że nawet do szczęścia. W związku z powodzią utkwił mi w pamięci wypadek, który mógł zakończyć się tragicznie. Chodziło o sekundy. Była niedziela, wiosną 1938. Po obfitych opadach deszczu woda w rzece, normalnie nie przekraczająca 70 cm, mocno weszła. Matka szła do kościoła, prowadząc mnie za rękę. Doszliśmy do kładki „koło Fibera”, wzmocnionej z obu stron betonowymi przyczółkami. Mimo to kładka była lekko wygięta i pochylona od naporu wody. Fale biły o deski, a wówczas przez szpary między nimi wytryskiwała woda. Postanowiliśmy przejść przez tę kładkę, a przechodząc, odczuwaliśmy drgania



1938 r., Kosów Huculski, kuracjusze w czasie ćwiczeń gimnastycznych w zakładzie dra Apolinarego Tarnawskiego, fot. Arch. Jana Sitnika

i trzaski opierającej się wodzie konstrukcji. Idący kilka kroków za nami mężczyzna postanowił pójść w nasze ślady. Gdy przeszliśmy około 20 kroków od brzegu, usłyszeliśmy jakby głuchy jęk. Obejrzelśmy się i zobaczyliśmy, jak ów mężczyzna jedną nogą stoi na betonowym przyczółku, a drugą uniesioną ma w powietrzu. Natomiast z kładki nie pozostał nawet ślad. Wszystko pochłonęła woda. Gdyby ten mężczyzna nie postawił nogi na przyczółku i nie przeniósł na nią ciężaru ciała, byłby popłynął z nurtem rzeki. A gdy woda opadła, po betonowych filarach podpierających drewnianą konstrukcję kładki nie zostało nic.

W 1938 roku wybudowany został nowy most Salinarny, żelbetonowy o konstrukcji łukowej, bez filarów, jednoprzęsłowy. Most ten wysadzili w 1941 roku uciekający z Kosowa Sowietci. Miny uszkodziły przyczółki, na których spoczywało prześło. Spadło ono do poziomu wody w stanie nienaruszonym. W czasie okupacji niemieckiej Żydzi rozkuli go, wywożąc gruz, żeby nie tamował przepływu wody.

Elektrownia z dwoma generatorami napędzanymi silnikami spalinowymi typu „Diesel” zapewniała miastu oświetlenie oraz energię warszatom rzemieślniczym.

W latach 1937-38 na Wierzbowcu prowadzono wiercenia w poszukiwaniu złóż ropy naftowej. Natrafiono na złożę gazu ziemnego (około 300 atmosfer). Na bazie tego gazu wybudowano elektrownię z turbinami parowymi. Sieć tej elektrowni połączono z siecią miejską, co zwiększyło dostęp do energii elektrycznej. W tych latach wytyczono trasę pod tor



1938 r., Kosów Huculski, kuracjusze w czasie ćwiczeń gimnastycznych w zakładzie dra Apolinarego Tarnawskiego, fot. Arch. Jana Sitnika



Wasyl Dewdiuk „Burak”. Były legionista, przyjaciel Józefa Piłsudskiego. Artysta, rzeźbiarz i inkrustator. Organizator szkolnictwa artystów ludowych, fot. Arch. Jana Sitnika

kolejowe, które miały połączyć Kołomyję z Kosowem, Kutami do Wyżnicy po stronie rumuńskiej.

W roku 1891 dr Apolinary Tarnawski wybudował słynny przed wojną zakład leczniczy, który znajdował się we wsi Smodna przy trakcie do Kut. Zajmował on powierzchnię około 15 ha. Kuracjusze mieszkali w domkach typu willowego. Kuracja polegała na jarskiej kuchni, kąpielach solankowych bądź zimnych kąpielach w nieopodal płynącej rzece, gimnastyce i długich spacerach. Kuracjom nie wolno było palić papierosów i pić alkoholu. Łamiący regulamin zakładu byli usuwani. W zakładzie było zatrudnionych dwóch ogrodników: Kaszyński i Wydmański. Córka Wydmańskiego,

a moja rówieśnica i koleżanka, często przychodziła do zakładu do ojca, więc niektórzy kuracjusze nie wytrzymujący „reżymu jarskiego”, korzystali z jej odwiedzin. Po kryjomu przynosiła kanapki z wędliną, które spożywali w zakamarkach ogrodu. Ogrodnicy, oprócz roślin ozdobnych, uprawiali wszelkie jarzyny dla potrzeb zakładu.

Do zakładu zjeżdżało wiele znanych osobistości ze świata kultury i polityki. Przebywali tu między innymi: Ignacy Chrzanowski, filozof Wincenty Lutosławski, historyk Władysław Konopczyński, teatrolog Juliusz Osterwa; śpiewacy: Janina Korolewicz-Wajdowa, Adam Didur, Wanda Wermińska; dramaturg i poeta Lucjan Rydel, pisarka Gabriela Zapolska, a z polityków: Ignacy Daszyński, Wojciech Korfanty, Zygmunt Balicki, Roman Dmowski, Władysław Folkierski, Aleksandra Drohanowska, Stanisław Mikołajczyk z rodziną (u którego nasza sąsiadka, Józefa Bybluk, była masażystką) i wiele innych nie mniej znanych indywidualności.

W Kosowie funkcjonowało wiele warsztatów rzemieślniczych, jak: stolarskie, kamieniarskie, kilimarskie, trykotarskie, rzeźbiarsko-inkru-

stacyjne, intarsjowe oraz ceramiki użytkowej (garncarze) i ozdobnej. Wyroby sprzedawano na jarmarkach. Twórczość artystyczna była oparta na motywach huculskich. Najslawniejszym ceramikiem był Aleksander Bachmiński (1822-1882), malarz, garncarz, kaflarz, wyjątkowy artysta. Spod rąk jego i jego córki Rozalii wyszły fantazyjne malowidła na kaflach, całych piecach, glinianych garnkach, wazonach i flakonach. Dziś oryginały Bachmińskiego są rarytasem. Cena antykwaryczna jednego kafla sięga 500 dolarów. Pojedyncze sztuki można oglądać w sklepach antykwarycznych w Kołomyi. Obecnie największy zbiór prac Bachmińskiego znajduje się w Muzeum Historycznym w Sanoku. Piękny piec zbudowany z fantazyjnie zdobionych kaflów Bachmińskiego przywiózł w latach 30. XX wieku zafascynowany huculszczyzną Jan Kuncewicz, mąż pisarki Marii Kuncewiczowej. Piec ten jest dziś ozdobą w słynnej „Kuncewiczówce” w Kazimierzu nad Wisłą, gdzie mieści się Muzeum Marii i Jana Kuncewiczów.

Bachmiński wychował takich artystów w swojej branży, jak: Piotr Kozak z Pistynia, Baranowski, Tymiak, Wołoszczuk i Ćwiłyk z Kosowa oraz Roszkiewicz i Napp z Kut. Wazony i flakony były chętnie kupowane przez letników. Również kilimy, dywany, portiere oraz płótno siatkowe dra Kneipa z pracowni J. Gruszkowskiego, posiadającego sklepy firmowe we Lwowie i Krynicy, znajdowały licznych nabywców. Zakład dziwiarsko-trykotarski Hilmanów dostarczał do sklepów swoje wyroby.

Słynny rzeźbiarz, inkrustator, Ukrainiec-legionista i przyjaciel Józefa Piłsudskiego – Wasyl Dewdiuk, o przydomku „Burak”, nauczyciel i organizator szkoły rzeźbiarskiej Mistectwo-Mistrzostwo, posiadał duży zbiór zdjęć z czasów wojny z bolszewikami, a wcześniej z Rosją carską oraz z imienin Piłsudskiego. Sowietów w 1940 roku – NKWD - oglądali jego pamiątki i odznaczenia (Krzyż Walecznych i Virtuti Militari), ale, o dziwo, nie naraził się na żadne szykany z tego tytułu, podczas gdy Polaków za uczestnictwo w wojnie w 1920 roku wywożono na Sybir.

Józef Sitnik, mój ojciec, jako kuśnierz, szył standardowe kozuchy w kolorze białym, zwane „bajbarakami”, oraz ozdobne na śluby dla młodych. Wincenty Klusik szył kozuchy farbowane na brązowo.

Dwie apteki St. Bursy i Łukaszewiczów zapewniały dostęp do lekarstw przez całą dobę.

Duża część ludzi prowadziła pensjonaty, takie jak: „Anna”, „Bajka”,

„Helena”, „Na Skale” i inne, których nazwy uległy zapomnieniu, oraz domy w stylu willowym huculskim. Zapewniały one kwatery letnikom i turystom, podobnie jak dwa hotele.

Kosów mądrze rządzony przez starostę Winiarskiego oraz burmistrza Ćwiklińskiego, a w ostatnich latach przez płk. w stanie spoczynku Lewickiego, rozwijał się i stawał się coraz bardziej znanym i cenionym kurortem. Gdyby nie wojna, miał szansę zdystansować Zakopane.

Kosów charakteryzował się łagodnym klimatem. Średnia roczna wynosiła 9°C, gdy Zakopane miało 4°C. Świeże, górskie powietrze, zwiedzanie okolicznych gór wznoszących się tuż za miastem z górą Michałków (812 m n.p.m.), a zimą obfite opady śniegu przyciągały coraz więcej letników latem a zimą narciarzy. Na zboczach Michałkowa były wspinał się trasy zjazdowe, a wybudowana w 1938 roku skocznia narciarska ściągała amatorów tego sportu.

Handel zdominowany był przez Żydów. Oprócz sklepu polskiego „Składnica Polska” i ukraińskiego „Torhiwla” były trzy nieduże sklepy tzw. artykułów spożywczych kolonialnych. Znajdowały się one w rękach polskich i ukraińskich. Sklepy masarskie też znajdowały się w rękach polskich. Sklepom nieżydowskim trudno było się utrzymać, ponieważ Żydzi obniżali w nich ceny, stosując swego rodzaju dumping, na co polskie i ukraińskie nie mogły sobie pozwolić. Żydom, handlowcom, poniesione straty wyrównywała ich gmina, zwana „Kahał”. Inni han-



4 XII 1968 r., Kosów Huculski, dom rodzinny Sitników (od podwórza) przy ul. Rożnowskiej, fot. Arch. Jana Sitnika

dlowcy, niestety, nie mieli oparcia w tego rodzaju organizacji. Jakże inny był wówczas handel. Nie było żadnych organizacji konsumenckich, biurokracji związanej z reklamacją wadliwego towaru. O cenę można było się targować i to niejednokrotnie z bardzo pozytywnym skutkiem dla kupującego. Sklepiarz chciał sprzedać towar, który nie mógł leżeć w sklepie. Wystarczyło pokazać, jaka jest wada, a sklepiarz przyjmował go, przepraszał i dawał nowy, taki sam lub inny. Na pytanie, co się stanie, jak i ta sztuka towaru będzie wadliwa, odpowiadał:

- To proszę przyjść, a ja wymienię na nowy.

Pewnego razu mama spytała pana Delkę, który miał największy sklep z butami:

- Jeżeli pan tak wymienia ten towar, to pan ponosi duże straty?

Delka na to:

- Proszę pani, ja mam dostawców, którzy gwarantują dostarczenie dobrego towaru. Jak od niego są takie buble, to on już jest bankrut. Ja powiadomię wszystkich kupców, że dostarcza fałszywy towar i od niego nikt już nie kupi.

Dlatego nie istniała biurokracja reklamacyjna ani żadna organizacja konsumencka. Wszystko stymulował rynek, prawo popytu i podaży oraz konkurencji.

Wszelkiego rodzaju nieporozumienia rozpatrywał sąd grodzki z sędzią Ostrowskim. Karne sprawy rozpatrywał Sąd Okręgowy w Kołomyi.



Tymczasem zbliżał się wrzesień 1939 roku, a z nim wybuch wojny. Ja, wychowany na literaturze i poezji patriotycznej, która głosiła, że „pięknie jest zginąć w Ojczyzny obronie”, odczuwałem walkę z wrogiem, który najechał nasz kraj, jako coś wzniosłego. Porozklejane plakaty: „Silni, Zwarci, Gotowi” i Rydz-Śmigły na tle czołgów i samolotów nie dopuszczały myśli, że Polska może ulec Niemcom. Rodzice i znajomi byli wprawdzie innego zdania, zakrawającego na pesymizm. Miałem żal do nich za brak wiary w zwycięstwo.

Mama załamywała ręce:

- Po dwudziestu latach znów wojna i znów zginie wielu młodych ludzi!

Po ogłoszeniu mobilizacji o. Benedykt z dziewczętami z KSM zor-

ganizował akademię na pożegnanie odchodzących do wojska. Były deklamacje patriotycznych wierszy i pieśni patriotyczne. Do ogólnego wzruszenia doprowadziła pieśń „Synku mój”. Wszyscy płakali, wiedząc, że z odchodzących na wojnę nie każdy wróci. Słowa tej pieśni pamiętam do dziś:

Synku mój, już los mię wzywa w świat...
Rośnij zdrow i matki słuchaj rad,
Smutna dola pędzi ojca w dal,
Na samotność, łzy, cierpienia, smutek, żal.
Zawiodły mię sny, synku mój.
Lecz spełnij je ty, synku mój.
Wśród szczęścia i pieśni niech los da ci żyć.
I w matki objęciach przed smutkiem się skryć.
I módl się co noc, synku mój,
By Bóg dał ci moc, synku mój.
I przez długi ten czas pomyśl o mnie choć raz,
Zanim los złączy nas, synku mój.

Szkoły nie było, więc siedzieliśmy w domu. Z radia słyhać było coraz gorsze komunikaty. Niemiecki samolot zrzucił pięć bomb. Na szczęście spadły na peryferiach miasta, nie czyniąc szkód. Zginęły tylko dwie osoby. W połowie miesiąca przez Kosów w kierunku Kut i Rumunii ciągnął



2008 r., szkoła męska na Moskalówce, fot. Arch. Jana Sitnika

sznur samochodów. Rzadko pojawiała się ciężarówka wojskowa. Widać było tylko kilka tankietek i furmanek wojskowych przeważnie z rannymi żołnierzami. Przemieszczali się też zdrowi żołnierze, w większości bez broni, brudni, zarośnięci, z gołymi nogami w trzewikach, okrutnie zmęczeni. W oczach ich była jakaś rezygnacja i tylko pytali, jak daleko do granicy.

Na dwa dni w Kosowie zatrzymał się Rydz-Śmigły ze swoim sztabem. Pułkownik poszukujący dla nich kwatery wstąpił do naszego domu. Ojciec pokazał mu pokój, a on oświadczył, że to stajnia, a nie kwatera. Ojciec odpowiedział:

- Niedługo może wam brakować nawet gorszej stajni.

Pułkownik zachnął się i zarzucając ojcu defetyzm, chwycił za kaburę rewolweru. Ojciec powiedział:

- Zrób to pan! Nie udało się bolszewikom w 20 roku, to niech dokona tego Polak.

Pułkownik odszedł bez słowa. Po dwóch dniach sztab odjechał do Kut, gdzie po kilkudniowym pobycie przekroczył rumuńską granicę. Tak skończył się okres rozwoju i stabilizacji.

Rozpoczęła się okupacja sowiecka. W połowie października w pochmurny i słotny dzień wkroczyły wojska Armii Czerwonej. Nędznie ubrani żołnierze w postrzępionych szynelach, mieli karabiny bez pasów. Niektórym pasy zastępowały sznurki. Na nogach trzewiki



2008 r., szkoła żeńska na Moskalówce, fot. Arch. Jana Sitnika

i owijacze w czarnym kolorze. Dowódcy chodzili w butach z cholewami zsuniętymi w harmonijkę, ponieważ były zrobione z ceraty, nasączonej jakąś masą imitującą skórę (czyżby skaj?). I ten niekończący się sznur podwód ciągniętych przez konie. Masa kawalerii i piechoty. Ciągniki na gąsienicach „Stalińce” wlokły armaty o ponad 3 metrowych lufach średnicy około 20 cm.

W naszym domu w jednym z pokoi zakwaterowano 10 żołnierzy. Kazali z pokoju wszystko usunąć oprócz stołu i krzeseł i nanieść słomy, na której żołnierze spali, przykrywając się szynelami. Na ogrodach usytuowano kuchnie polowe oraz drągi, do których były przywiązane konie. Zwierzęta te bez żadnej osłony musiały przetrwać zbliżającą się, i jak się okazało, bardzo mroźną zimę. Dryl w wojsku panował iście pruski. Żołnierze nie rozmawiali z nami. Po ciepłą wodę chodzili z menażkami do sąsiada, Ukrainca, na drugą stronę ulicy. Gdy mama zapytała komandira, dlaczego nie przychodzą po wodę do nas, przecież przejść przez przedpokój jest bliżej jak do sąsiada przez ulicę, komandir zmieszał się i wyjąkał, iż obawiali się, że my Polacy mogliśmy odmówić. Tak politrucy przedstawiali Polaków. Jednak od tego dnia przychodzili do nas po ciepłą wodę. Przed domem w ogrodzie była przyzma jabłek. Ponieważ nie było na nie zbytu, więc leżały zsypane w jednym miejscu. Żołnierze, kwaterujący u nas i w okolicznych domach, przechodzili obok tej przyzmy do kuchni z menażkami, do których wlewano im jedzenie. Ojciec powiedział do matki:

- Tyś się martwiła, że jabłka zmarzną, a ja myślę, że jak żołnierze pochodzą koło nich ze dwa razy dziennie, to niedługo wszystkie jabłka znikną. Nic takiego się nie stało. Żaden żołnierz nie wziął nawet jednego jabłka. Gdy po tygodniu ojciec wyszedł z domu i powiedział do przechodzących żołnierzy, żeby brali jabłka, bo zmarzną i się zniszczą, usłyszał:

- Niet, nie nada. (nie, nie trzeba, my mamy wszystko, czego nam potrzeba).

Widocznie nie byli głodni. Posiłki otrzymywali dwa razy dziennie. Pierwszy raz około godz. 10.00, a drugi około 16.00 naszego czasu. Według ich moskiewskiego czasu były to godz. 12.00 i 18.00. Pobudkę robiono im o godz. 4.00, według moskiewskiego czasu była to 6.00, a spać kładli się o godz. 20.00, według ich czasu - 22.00. Po trzech tygodniach żołnierze zostali pozabierani z domów.

Ojciec nadal zajmował się kuśnierstwem, co pozwalało na uzyskanie jakiegoś dochodu w rublach. Pieniądze były potrzebne na bieżące wydatki oraz składkę, z której opłacany był podatek do kościoła. Zapłacenie podatku ochraniało kościół przed zamknięciem. Wśród ludności miasta panowała ogólna bieda. Wielu rodzinom w oczy zaczął zaglądać głód. Nie było letników, turystów, więc i nie było pieniędzy. Ludzie zaczęli się wyprzedawać z rzeczy, by zdobyć jakieś pieniądze. Na wyroby artystyczne nie było zbytu, ponieważ ci, którzy chcieli kupić, nie mieli pieniędzy.

W sklepach zaczęło brakować wszystkiego, oprócz zapalek, chałwy, cukierków i perfum. Tych rzeczy było w bród i były bardzo tanie, a chałwa pyszna. Po chleb, mąkę czy cukier stały nie kolejki, ale tłumy zgłodniałych ludzi. Sklepy prowadziły sprzedaż wiążaną. Jeżeli kupowało się np. cukier po 20 dkg na osobę na miesiąc, to trzeba było równocześnie kupić 1 kg chałwy albo półlitrową butelkę perfum – odekołonu. Raz dowieziono śledzie w beczkach. Ponieważ były niepatroszone i niezasolone, uległy zepsuciu. Cuchnęły niesamowicie. Nikt nie chciał ich kupować, więc przy zakupie czegokolwiek trzeba było kupić dwa śledzie. Ludzie z konieczności brali, ale zaraz po wyjściu ze sklepu wyrzucali je do rynsztoku. Wszędzie było pełno rozkładających się śledzi i smród niesamowity. Bardzo biedny mężczyzna, zwany „Łaska Boża”, zjadł te śledzie. Zatrut się nimi i zmarł.

Coraz dotkliwiej odczuwało się brak drewna opałowego. Składy drewna nie istniały. Ludzie zaczęli wycinać w sadach drzewa owocowe. Parkany i co się tylko dało, szło na opał. Wszystkie lasy prywatne upaństwowiono. Wycinka była zabroniona. Z konieczności trzeba było kraść drewno we własnym lesie. Ludzie jakoś sobie radzili dzięki dość liberalnemu podejściu służby leśnej – gajowych. Z ojcem wycinaliśmy drzewo, przycinaliśmy na klocki długości 2 m. Ładowało się je na większe sanki, zwane „samotużkami” i przywożono do domu. Jednakże składowaliśmy je u sąsiada Żyda, Mendela Findera. Jak gajowy przychodził szukać ściętych klocków, to oczywiście niczego nie znalazł. Dzięki temu nie zamarzliśmy tej mroźnej zimy.

W listopadzie 1939 roku otworzono szkołę. Zaczęła się mroźna i śnieżna zima. Mrozy spadały nocą poniżej 40°C. W ciągu dnia temperatura podnosiła się do minus 30°C. Nocą drzewa w sadach pękały od

mrozu. Rozlegał się wtedy huk, który brzmiał jak wystrzał. Ptaki zamarzały w locie, padając nieżywe. Odległość około 1,5 km do szkoły była udręką, ponieważ rano był największy mróz. Nóg się nie czuło. W klasach było dość chłodno pomimo bardzo gorącego pieca. Na szczęście był w szkole bufet, gdzie można było kupić gorącą herbatę (czaj) i trochę się rozgrzać od wewnątrz. Nauki jednak nie zawieszono.

Przez krótki okres klasy były wspólne dla wszystkich, a językiem wykładowym był nadal język polski. W klasie oprócz kilku kolegów narodowości żydowskiej było trzech Ukraińców: Wasyl Kabyn i Władzio Hatman z dzielnicy Moskalówka oraz Mikołaj Łepkaluk, zwany Kociem, syn bogatego gospodarza ze Starego Kosowa. Przed wojną często bywał u nas w domu. Razem odrabialiśmy prace z języka polskiego. Niejednokrotnie bywałem też u niego. Pewnego dnia, jeszcze przed podziałem na klasy ukraińską i polską, jak zwykle wyszliśmy ze szkoły: ja, Bronek Kaszyński, Wasyl Kabyn i Kocio Łepkaluk. Przez jakieś 300 m droga była wspólna, szliśmy razem. W miejscu, gdzie Bronek Kaszyński i Wasyl Kabyn musieli się od nas odłączyć, Łepkaluk doskoczył do Bronka ze słowami:

- No i co, ty polska świni, twoja Polska poszła do wychodka.

Zaczął go bić pięściami. Bronek nie był ułomkiem, mógł go pokonać i wlać mu, ale mieliśmy powiedziane, żeby nie wdawać się w bijatyki z Ukraińcami, nie dać się sprowokować, ponieważ oni mogą oskarżyć Polaków o napaść. Im uwierzą, nie nam. Ponieważ bijatki, a przede wszystkim wszelka przemoc, były zabronione, więc takie oskarżenie mogło skończyć się aresztowaniem i osądzeniem. Młody wiek nie chronił przed karą więzienia. Gdyby na przykład dziecko poskarżyło się, że rodzice je biją, to nawet za kilka klapsów dziecko czy dzieci z tej rodziny zabrano by do domu dziecka (Did-sadok), a rodziców wysłano na Sybir.

Bronek jedynie zasłaniał się przed uderzeniami. Wasyl Kabyn stał z boku i nie brał udziału w tym zajściu. Ja stałem jak wryty, zdumiony takim postępowaniem Kocia i czekałem, że jak skończy z Bronkiem, to wówczas weźmie się za mnie. Nie mogłem pomóc Bronkowi, bo wywiązałyby się niezła bijatyka, której skutki byłyby opłakane dla nas, a pewnie i dla naszych rodzin. Kabyn nie interweniował, chociaż nie aprobował takiego postępowania. Bał się chyba, że pomagając Bronkowi, naraziłby

się na oskarżenia, iż wstawia się za Polakami. Mógłby być odrzucony przez społeczność ukraińską. Gdy skończyli się szarpać, bo Bronek po prostu uciekł, Kocio jak gdyby nigdy nic zwrócił się do mnie:

- Chodź, idziemy do domu.

Szliśmy niby w najlepszej komitywie, ale wewnątrz pozostała świadomość, że już dawnej zażyłości i zaufania do niego nigdy nie będzie. Latem 1945 roku okazało się, że niezupełnie miałem rację.

Ponieważ poziom nauczania u Sowieców był wyższy niż w Polsce, wszystkich cofnięto do tej samej klasy, którą ukończyli w Polsce. Czyli znów chodziłem do trzeciej (1939-40) i do czwartej (1940-41). Uczono normalnych przedmiotów, oprócz tego nauczano historii Rosji od zarażenia jej dziejów, czyli od czasów, gdy kniazie byli wasalami chanów tatarskich i mongolskich. Pełno dat, nazwisk kniaziów i chanów, a do tego brak podręczników doprowadzał do rozpacz. Pani Madziarska, która m.in. uczyła również tej historii, była w posiadaniu jedyne podręcznika. Całą lekcję pisała z niego na tablicy, a my przepisywaliśmy tekst do zeszytów. W trakcie pisania kolejni uczniowie odpadali, bo nie nadążali za nauczycielką. Ja pisałem najszybciej, więc miałem zanotowaną treść z danej lekcji. W domu przepisywałem wszystko na czysto do zeszytu. Zeszyt ten krążył wśród kolegów i koleżanek, którzy odpisywali zawartą w nim treść. Niejednokrotnie nie widziałem swego zeszytu przez cały tydzień. Choćbym nawet chciał się uczyć, a nie chciałem, to nie miałem z czego. Pewnego razu zapytany przez nauczycielkę oczywiście nic nie umiałem. Inni coś niecoś zdołali wydukać, więc nauczycielka, wpisując dwóję, powiedziała, że zostaną po lekcjach w szkole, żeby się uczyć. Kiedy wszyscy poszli do domu, ja zostałem w klasie. Nauczycielka wypełniała dziennik lekcyjny i przygotowywała się do następnej lekcji robiąc streszczenia. W pewnym momencie uniosła głowę, spojrzała w moim kierunku i spytała:

- Sitnik, dlaczego się nie uczysz tylko patrzysz przez okno?

Wstałem i bez zastanowienia powiedziałem:

- Proszę pani, gdyby to była historia Polski, to na pewno bym się uczył, ale tej nie będę.

Pani Madziarska wstrzymała oddech i, patrząc na mnie, nie wiedziała, co powiedzieć. Po chwili odetchnęła i spokojnie odpowiedziała:

- Musisz coś umieć wobec klasy. Naucz się jakiegoś rozdziału i jak wy-

wołam ciebie do odpowiedzi, to przyjdź z zeszytem otwartym na tym rozdziale, a ja z niego będę ciebie pytać.

Takim sposobem miałem dobre stopnie z historii. Czy inni uczniowie również korzystali z takiego rozwiązania? Sądzę, że tak, ale na ten temat nie rozmawiało się. Były to osobiste sekrety w relacji uczeń – nauczycielka.

Oprócz braku książek dawał się we znaki również brak zeszytów. Jak pojawiły się jakieś w sklepiku szkolnym, to kartki w nich były szare, grube, z zaprasowanymi drzazgami drewna, nieraz do 3 cm długości.

Przez ostatnie miesiące 1939 oraz przez cały 1940 przemykały przez Kosów osoby chcące dostać się do Rumunii. Uciekinierzy otrzymywali schronienie w polskich domach stojących w odosobnieniu na uboczu. W Kutach odległych od Kosowa o 9 km był niejaki Piskozub, który przeprowadzał uciekinierów przez granicę, którą stanowiła rzeka Czeremosz. Rosjanie polowali na niego, ale nie udało się go złapać. Był na tyle bezczelny wobec Rosjan, że zawiadamiał ich, w którym dniu będzie przeprowadzał ludzi przez granicę. Czy faktycznie w tym dniu tego dokonywał, tego nikt nie wie.

W styczniu 1941 roku kolega ojca, emerytowany policjant Mikołaj Abrahamowicz, wyczuł, że będzie aresztowany. Rano przyszedł do nas, coś poszeptał z rodzicami, zjadł śniadanie i, wychodząc, powiedział:

- Przyjdę później, zagramy w szachy.

Te słowa były adresowane do nas, dzieci. Gdyby ktoś nas wypytywał, tak mielibyśmy mówić. Oczywiście, prawdy nie znaleźliśmy. Około godziny 13.00 sąsiad, Żyd Mendel Blaiwajs, zobaczył moją mamę na podwórzu i powiedział:

- No, Abrahamowicz uciekł na Rumunię.

- To nieprawda. Był rano, poszedł do miasta i mówił, że po południu przyjdzie jak zwykle na szachy – odpowiedziała mama.

Żyd zaśmiał się:

- Jego w Kosowie już nie ma.

Widocznie był śledzony, ale zdołał, potocznie mówiąc, urwać się im. Osiadł w Anglii. W 1964 zaprosił ojca do siebie i opowiedział, jak dostał się do Rumunii. Ktoś zaprowadził go do nadgranicznej wioski, gdzie w szopce ukrytej w stercie siana było już 40 osób. W nocy wszedł oficer NKWD ze straży granicznej i oznajmił:

- Sobirajties (zbierajcie się), idziemy.

Wyszli i po cichu między sobą rozmawiali:

- Dokąd on nas zaprowadzi, czy na NKWD, czy za granicę?

Szli z duszą na ramieniu. Noc była ciemna. Po dłuższym marszu oficer odezwał się:

- Oto i rzeka, na drugim brzegu czekają na was Rumuni.

Ich cywilny przewodnik, Ukrainiec, zapłacił oficerowi uzgodnioną kwotę w dolarach, na którą składali się uciekinierzy i tak Abrahamowicz dostał się do Rumunii.



Nadszedł luty 1940 roku i pierwsza deportacja na Sybir. W pierwszej kolejności wysyłane były rodziny policjantów, leśników, działaczy organizacji patriotycznych, politycznych oraz urzędnicy, którzy byli przysłani z innych rejonów Polski. Traktowano ich jak kolonistów polonizujących Ukrainę. W drugiej deportacji wywieziono wszystkich tych, którzy zapisali się do „Szlachty Zagrodowej”. Z mojej klasy deportowano trzy koleżanki z rodzinami: Krystynę Buczek, Zenię Dankiewicz i Józję Wielgosz. Czy przeżyły? Zaaresztowano też siostrę mojej koleżanki Marysi Wydmańskiej, po której ślad zaginął.

Związana z tym wydarzeniem jest nieodżałowana strata książki. Był to zbeletryzowany pamiętnik pt. „Gdy zagrzemiał Złoty Róg” zawierający opis walk z Ukraińcami o Lwów. Było w nim dużo zdjęć oraz opisy walk w poszczególnych dzielnicach i ulicach z nazwiskami osób walczących i poległych w każdym z tych miejsc. Między sobą wymienialiśmy książki przeważnie o tematyce patriotycznej. Zwierzyłem się koleżance, Krystynie Buczek, że mam taką książkę o obronie Lwowa. Poprosiła, bym jej pożyczył. Następnego dnia przyniosłem ją do szkoły i dyskretnie wręczyłem jej. Gdy nazajutrz przyszedłem do szkoły, doznałem szoku. Krystynę i wspomniane dwie koleżanki nocą zabrano z domów i wywieziono na Sybir, a książka bezpowrotnie przepadła.

Bolszewicka perfidia nie znała granic. Z domów ludzi deportowanych zabrano wszystkie książki i z księgozbiorem biblioteki miejskiej utworzono bibliotekę. Zgromadzono w niej tytuły traktujące o przebiegu walk z Rosją od czasów panowania królów, powstań, po walki

z bolszewikami w 1920 roku i inne o treści patriotycznej. Można je było wypożyczać. Wierzyć się nie chciało, że były one oficjalnie dostępne. Korzystając z tej okazji, przeczytałem wiele książek z tego gatunku. Dopiero gdy Sowieci uciekli, wyszło tzw. „szydło z worka”. Biblioteka przekazywała do NKWD spis osób i tytuły wypożyczanych książek szczególnie o treści patriotycznej i antykomunistycznej. Tym sposobem NKWD wiedziało, kto jest jakiego ducha i jakich przekonań, według nich wrogich, więc umieszczano ich na listach deportacyjnych.

W 1940 Żydzi zaczęli domagać się zamknięcia kościoła albo wydania zakazu dzwonienia, ponieważ głos dzwonów im przeszkadzał. NKWD jednak odmówiło. Uznali, że nie można bez wyraźnego powodu zamknąć świątyni i wydać zakaz bicia w dzwony. Trzeba postępować stopniowo. To postępowanie stopniowe polegało na podnoszeniu podatku za kościół. Wierni złożyli się na podatek wyznaczony za rok 1939. Na rok 1940 wysokość podatku podwojono. Z trudem, ale zdołano zebrać wymaganą kwotę. Gdyby jednak w 1941 roku trzeba było zapłacić potrójną sumę, prawdopodobnie nie zdołano by zebrać odpowiedniej kwoty i wówczas kościół zostałby zamknięty, a dzwony przestałyby bić! Oficjalnie podano by, że powodem nie był zakaz modlenia się, ale że nie został zapłacony podatek.

Na przełomie 1940/41 moją starszą siostrę, Emilię, która była członkinią KSM, kilkakrotnie Rosjanie zabierali z ulicy na NKWD, gdzie była przez średnio dwie doby przetrzymywana i przesłuchiwana. Pytano o miejsce ukrycia broni, kto należy do organizacji kontrrewolucyjnej itp. bzdury. Zgodnie z prawdą oświadczała, że nic nie wie o żadnej broni i żadnej organizacji kontrrewolucyjnej. Po ostatnim zatrzymaniu powiedziano jej:

- Jeżeli nie chcesz mówić prawdy, to my poszukamy tych, którzy zabraniają ci mówić.

Siostra wróciła do domu i powtórzyła to rodzicom. Wiosną sąsiad Żyd powiedział ojcu:

- Jesteś na liście deportacyjnej. Przygotuj się, bo jak przyjdą, to będzie mało czasu na pakowanie się.

Rodzice przygotowali odzież, by jak najwięcej ubrać na siebie, gdyż nie pozwalano zabierać rzeczy. W paczkach była przygotowana żywność: mąka, kasza, cukier, sól, suszony chleb oraz paczka słoniny i smalcu.

Tak żyliśmy na paczkach w oczekiwaniu, że któreś nocy przyjdą i powiedzą:

- Sobiraj sia (zbieraj się).

Na szczęście nie zdążyli. Transport był przygotowany na 26 czerwca, a Niemcy uderzyli 21 czerwca, co zmusiło Rosjan do ucieczki.

Przez cały czas władze naciskały, by przystępować do kołchozu. Oficjalnie było to dobrowolne, ale podwajając z roku na rok podatek wymuszali, iż coraz więcej osób podpisywało chęć wstąpienia do kołchozu. Dwa, a nawet trzy razy w tygodniu zwoływano wiece. Obecność była obowiązkowa. Na wiecach, które trwały od 21.00 nieraz do północy, prowadzona była agitacja do kołchozów oraz opowiadanie bzdur na temat ucisku chłopów przez panów polskich. Na jednym z takich wieców prelegent zaczął mówić, że chłop nie mógł zabić świni bez pozwolenia pana, a jak otrzymał pozwolenie, to pan przychodził, zabierał, co mu się podobało, a resztę zostawiał chłopu. Na to jeden z gospodarzy, Ukraińiec, wstał i powiedział:

- Ja nic o czymś takim nie słyszałem. Mogłem chować i zabić tyle świń, ile chciałem i nikt się do tego nie wtrącał. Nikt mi nic nie zabierał.

Prelegent zamilkł. Po chwili ogłosił przerwę. Po przerwie tego gospodarza już nie było i nikt go już więcej nie widział.

W 1940 roku, wiosną, przeprowadzono w Wojen-Komacie (WKR) rejestrację mężczyzn. Niemal wszystkim wręczono książeczki wojskowe z kategorią zdrowia. Była to przeważnie kategoria I z wpisem „strojewoj”, czyli zdolny do służby wojskowej. Pamiętam związaną z tym humorystyczną historię. Sąsiad, kolega ojca, który często przychodził do nas, żeby pograć w szachy, kilkakrotnie w tym dniu przychodził do niego i namawiał, żeby razem iść na Wojen-Komat. Ojciec wymigiwał się:

- Mam czas do 18.00. Teraz tam jest na pewno duża kolejka, a po południu, im bliżej 18.00, będzie coraz mniej ludzi.

Sąsiad jednak nie wytrzymał i poszedł sam. Otrzymał książeczkę kategorii I – strojewoj. Ojciec poszedł około godz. 16.00 i faktycznie, kolejki już nie było. Wszedł do sali, gdzie siedziała komisja lekarska. Lekarka spytała:

- Zdrows?

Ojciec odpowiedział:

- Nie.

- To co wam dolega?

Pokazał szyję, a miał bardzo powiększoną tarczycę, i dodał, że ma duszności i szybko się męczy. Lekarze pooglądali, obmacali szyję i zamiast książeczki wydali zaświadczenie o treści: „oswobozdion ot wojenskoji obowiazatelnosti”, czyli niezdolny do służby wojskowej. W drodze powrotnej ojciec wstąpił do kolegi, a on od razu:

- Pokaż książeczkę!

- Jaką książeczkę? – spytał ojciec. – Ja żadnej książeczki nie otrzymałem.

- Nie żartuj, przecież dali ci taką jak mnie.

I pokazał swoją książeczkę. Ojciec wyjął otrzymane zaświadczenie i powiedział:

- Dali mi tylko to.

Kolega wziął, przeczytał i zdumiony spytał:

- Co tobie jest, że dali tobie tylko zaświadczenie?

- No wiesz, oni przez cały dzień nabrali tyle ludzi, ile wynosił kontyngent, a pod koniec już im nie było trzeba, więc mnie zwolnili.

Na to żona kolegi:

- Ty co dzień biegasz do Józia, a dziś zamiast trzymać się go, poszedłeś sam. Nie wykazałeś minimum cierpliwości, to teraz masz książeczkę.

To zaświadczenie było przyczyną, że ojciec znalazł się w 1944 pod Żytomierzem, gdzie formowała się II Armia Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Świerczewskiego.

Wiosną 1940 roku jeden ze starszych chłopców, chyba 16-letni Józef Kamiński, niepostrzeżenie zakradł się do NKWD i ze strychu, gdzie złożono karabiny zabrane z magazynu „Strzelca” w Polskim Domu, wyrzucił wszystkie do sąsiadującego z NKWD ogrodu. Zdołał też opuścić budynek przez nikogo nie zatrzymany. Wraz z kolegami karabiny przenieśli na Górę Miejską. Tam ćwiczyli musztrę i bawili się w wojsko. Gdy NKWD dowiedziało się o tym, zrobiono zasadzkę i zgarnięto chłopców wraz z karabinami. Po przesłuchaniu zwolniono ich bez żadnych konsekwencji. Karabiny naturalnie zatrzymano. Chyba było im wstyd, że coś takiego mogło się wydarzyć.

Szkoła nasza była usytuowana u podnóża Góry Miejskiej. Oddzielała ją tylko ul. Szkolna. Po lekcjach wchodziliśmy na górę, wspinając się żlebami, wykorzystując szczeliny i występy skalne do miejsca, w którym zaczynało się około 30-metrowe zbocze o nachyleniu w przybliżeniu

70-75 stopni. Po tej płaszczyźnie ześlizgiwano się na butach. Stromizna i gładkość piaskowca umożliwiały dość szybki ślizg. Zjeżdżając na nogach, trzeba było bardzo uważać, by na końcu zjazdu, gdzie zaczynało się pionowe urwisko, uskokować na występ skalny. Z tego występu można było wspiąć się z powrotem. Nieuwaga mogła skutkować upadkiem z wysokości około 60 m, co na pewno skończyłoby się tragicznie. Moja mama opowiadała, że też chodziła tam zjeżdżać i przez dziesiątki lat nie zanotowano tragicznego wypadku.

Penetrując skały i żleby, natrafiliśmy pod nawisem skalnym około 5 m od szczytu na okrągłą dziurę prowadzącą do wnętrza góry. Po kilku minutach rozważania czy wejść do tej dziury kolega Janek Nowakowski nabrali odwagi i wczołgał się. Tunelik długości około 3 m wchodził do wydrążonej okrągłej jamy o średnicy około 2,5 m. Od tego dnia często chodziliśmy bawić się w zbójców. Pewnego dnia, jak zwykle, wdrapaliśmy się do miejsca, gdzie było wejście do tej jamy, ale zanim doszliśmy, pojawili się żołnierze sowieccy i zatrzymali nas. Po przesłuchaniu i wypytaniu kazali nam odejść, nakazując, byśmy tu więcej nie przychodzili. Po kilkunastu dniach poszliśmy na górę ścieżką, która biegła łagodnym, trawiastym zboczem i w miejscu, gdzie była jama, ujrzeliśmy zapadliśko. Wojsko chyba minęło zasypało dziurę.

Latem 1940 roku, a było to w niedzielę, zdarzyła się nieprawdopodobna historia. Dęta orkiestra składająca się z Ukraińców, której kapelmistrzem był cwaniaczek Nadarkiewicz, na instrumentach zabranych z Domu Polskiego grała na stadionie, gdzie odbywały się jakieś uroczystości. Ponieważ stadion był ogrodzony wysokim parkanem z desek, nie było widać, co się tam dzieje. Po porannej mszy świętej około godz. 10.00 ludzie, idący do domu, stanęli jak wryci, nie dowierzając, co słyszą. Orkiestra grała znaną pieśń patriotyczną „Bartoszu, Bartoszu oj, nie trać waść nadziei...”. Ogarnęło ich zdumienie, byli zupełnie zaskoczeni. Jak to możliwe, że w okresie największego prześladowania Polaków i zacierania wszystkiego co polskie ukraińska orkiestra oficjalnie grała tę melodię? Naturalnie kapelmistrza wezwano do NKWD na przesłuchanie. Tłumaczenie jego było naiwne i sprytne.

- Kazali grać marsza, więc graliśmy. Ja mam tylko nuty, a słów do tej melodii nie mam i nie znam, więc tylko wiedziałem, co gramy. Innych nut nie posiadam.

Tłumaczenie naiwne okazało się skuteczne. Zwolniono kapelmistrza bez żadnych konsekwencji. Gdy Sowieci uciekli w czerwcu 1941 roku, śmiał się, że zagrał bolszewikom na nosie.

W tym też roku, latem, wojsko zaczęło kopać okopy na okolicznych wzgórzach, budować transzeje, stanowiska ogniowe dla karabinów maszynowych, moździerzy. Od strony Kołomyi jechał nieprzerwany sznur lekkich czołgów, których załogę stanowiły trzy osoby. Jechali tak cały dzień. Nie można było nawet przejść przez ulicę. Kierowali się na Kutry w stronę rumuńskiej granicy. Od granicy ewakuowali istniejące tam wioski. Szykowała się wojna. Związek Radziecki zażądał od Rumunii Besarabii (dzisiejsza Mołodowa) oraz części Bukowiny. Tereny te zamieszkiwała w przeważającej części ludność pochodzenia ukraińskiego. Rumunia, zdając sobie sprawę, że w wojnie nie ma szans, oddała te tereny bez walki. Wojska sowieckie wkroczyły i od razu odbyła się deportacja bogatych gospodarzy. Całymi dniami wywozili ich dobytek. Wszyscy odetchnęli z ulgą, że odbyło się bez walk.

W styczniu 1941 roku aresztowano kilkunastu młodych mężczyzn, Polaków i Ukraińców, działaczy OUN – Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Między innymi aresztowano mojego kuzyna ciotecznego, Franciszka Wołoszczuka, i kolegę mojej siostry Emilii, Mikołaja Hardekę. Osadzono ich w więzieniu w Stanisławowie, w którym było więzionych około 6000 ludzi. Ich, jako wrogi element, zamknięto w celach piwnicznych po 40 osób. Małe okienka nie dostarczały potrzebnej ilości powietrza. Więźniowie przemieszczali się w tych ciasnych celach tak, żeby każdy mógł pooddychać świeżym powietrzem. Takie postępowanie wymagało konieczności, bo inaczej część więźniów oddalonych od okienka mogła się podusić. W celi na podłodze była woda. Do snu nie można było się położyć nie tylko ze względu na wodę, ale na brak miejsca, gdyż stojąc, więźniowie wypełniali sobą całą powierzchnię celi. Jedynie po kilku na zmianę mogło przykucnąć, opierając się o ścianę i trochę podzierać. Stracili rachubę czasu. Czas odliczało wzywanie na nocne przesłuchania połączone z torturami: biciem, wyrywaniem włosów z głowy, a niejednokrotnie zrywaniem paznokci z rąk. Kuzyn opowiadał, jak pewnego dnia otworzyły się drzwi celi w dzień, co już było niezwykle. Stał w nich oficer NKWD oraz żołnierze z bronią. Poddenerwowany oficer zaczął bardzo szybko wyczytywać nazwiska z listy. Kto się zgłosił, wy-

chodził z celi na korytarz. Kuzyn się nie zgłosił, więc został. Tych, którzy wyszli, wyprowadzano na dziedziniec więzienny (wśród nich był m.in. Mikołaj Hardek). Załadowywano ich na samochody i wywożono za teren więzienia. Pozostali w celi obserwowali to wszystko przez okienko. Obserwator siadał na barkach innego więźnia i takim sposobem mógł zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Po krótkim czasie samochody wracały po następną grupę więźniów i tak trwało to przez cały dzień. Później okazało się, że wywożono tych więźniów za Stanisławów do lasu i tam rozstrzeliwano.

Noc przeszła spokojnie. Przez cały dzień w więzieniu panowała cisza. Na terenie więzienia nie było nikogo z jego załogi. Nikt nie dostarczał uwiezionym ani jedzenia, ani wody. Następna doba minęła bez zmian. Trzeciego dnia więźniowie usłyszeli jakieś trzaski, huki i gwar głosów ludzkich. To na wyższych piętrach, gdzie drzwi do cel były słabsze, więźniowie zaczęli je wyłamywać. Oswobodzeni wychodzili z cel i pomagali otwierać inne. Dwie cele piwniczne nie były zamknięte, bo w nich mordowano więźniów. Podłogi i ściany tych cel były zakrwawione. W ścianach widać było dziury po pociskach, a na podłodze w zakrzepłej krwi pełno zerwanych paznokci. Więźniowie, wyłamując bramę więzienia wysypali się na dziedziniec. Więźniczki na murach były puste, nie było nikogo, nikt nie strzelał. Główną bramą tłum więźniów wypłynął na zewnątrz, na wolność. Wielu rzuciło się na opodal stojące magazyny wojskowe z mundurami i butami. Inni w popłochu uciekali, nie dowierzając, że są wolni. Kuzyn ze znajomym Ukraińcem, jak mogli najszybciej, ruszyli, by wydostać się z miasta. Nagle zobaczyli, jak podjechały trzy samochody ciężarowe i żołnierze zaczęli łapać, kogo się dało, i ładować na samochody. Gdy zapelnili je, odjechali. Najprawdopodobniej ci nieszczęśnicy zostali też rozstrzelani. Oni we dwóch ruszyli w kierunku Kosowa, idąc tylko nocami i omijając wsie i miasta. Dystans 96 km dzielących Stanisławów od Kosowa przebyli w 10 dni, całkowicie wyczerpani i wycieńczeni. Przez te dni żywili się tym, co udało się zdobyć w ogrodach i na polach. Szli tylko nocami, bo nie wierzyli, że ruskich już nie ma i bali się, by ich nie złapano. Za ucieczkę była tylko jedna kara - kula. Gdy kuzyn dotarł do domu, nie wszedł od razu do mieszkania. Czekał w ciemnościach, licząc na to, że matka wyjdzie z domu. I tak się stało. Ciotka, tzn. jego matka, nie mogła zasnąć, więc wyszła przed dom.

Wówczas on zawołał po cichu:

- Mamo!

Matka w pierwszej chwili wystraszyła się, ale on powiedział:

- Mamo, to ja, Franek.

Padli sobie w objęcia z radością i ze łzami w oczach. Przez tydzień nie wszedł do mieszkania, gdyż nie wierzył, że ruskich już nie ma. Bał się, że mogą wrócić i zabrać go jak tych spod magazynów w Stanisławowie. Spał po strychach na sianie, gdzie matka przynosiła mu jedzenie. Wrócił wychudzony, prawie łysy, gdyż włosy wyrwano mu w czasie przesłuchań. Został z niego istny szkielet. Do mieszkania wszedł prawie po tygodniu, ale na każde stuknięcie, otwieranie drzwi zrywał się z myślą, że przychodzą po niego. Przez niecałe 6 miesięcy uczyniono z młodego, zdrowego mężczyzny wrak człowieka. Trauma, jaką przeżył, pozostała w jego psychice do końca życia.

Było to 20 czerwca 1941 roku. Zwołany wiec zakończył się nadspodziewanie szybko. Ojciec wrócił z tego wiecu do domu o godz. 22.00. Matka była zdziwiona tym faktem. Po chwili weszła do domu „trójka” z Sil-rady (z gminy). Położyli na stole listę osób przystępujących do kołchozu i dwa nakazy płatnicze dotyczące podatku. Jeden opiewał na 30 rubli, jeżeli ojciec opowie się za wstąpieniem do kołchozu, a drugi na 300 rubli, jeżeli nie podpisze nakazu. Sytuacja była bez wyjścia, bo zapłacenie 300 rubli było niemożliwe. Ojciec podpisał więc przystąpienie do kołchozu i zapłacił 30 rubli podatku. Po wyjściu tej „trójki” dopiero po 23.00 wszyscy udali się na spoczynek.

Rano o godzinie 4.00 sąsiad Mendel Finder zaczął pukać w okno od kuchni. Ojciec obudził się, wstał i podszedł do okna. Uchylił je i spytał:

- Co się stało, że budzisz mnie w środku nocy?

- Józiu, ty śpisz i nie wiesz, co się dzieje?

- A co mam w nocy robić i co się takiego dzieje?

- Ruscy uciekają. Już ostatnie podwozy (furmanki) opuszczają Kosów.

Ojciec podszedł do okna wychodzącego na główną ulicę, dyskretnie uchylił firankę i faktycznie zobaczył kilka furmanek jadących na wschód, w kierunku Śniatyna. Było cicho, aż się wierzyć nie chciało, że Ruskich już nie ma. Niedowierzanie, ale zarazem radość. Około godziny 10.00 w górnej części miasta rozległa się potężna detonacja. To saperzy wysadzili ten piękny most Salinarny. Po dłuższej chwili podjechała

podwoda, a na niej dwóch żołnierzy. To byli ci saperzy, którzy wysadzili most. W pobliżu naszego domu dwóch młodych Ukraińców próbowało ich zatrzymać i rozbroić. Jeden z żołnierzy rzucił zaczepny granat do ogrodu sąsiada. Gdy granat wybuchł, Ukraińcy rzucili się do ucieczki. Żołnierze pokładali się ze śmiechu. Ujrzawszy ojca, jeden z nich zawołał:

- Doswidania chazaj! (do widzenia gospodarzu).

Ojciec odpowiedział:

- Jedź, jedź i abyś wrócił wtedy, jak będziemy o to prosić.

Nikt nie przypuszczał, że w marcu 1944, gdy banderowcy zamordowali 76 osób, witaliśmy ich ze łzami w oczach i pytaniem, dlaczego nie przyjechali tydzień wcześniej.

Wszystko działo się w wielkiej tajemnicy. Nikt nie wiedział nic o sytuacji politycznej. Prasa radziecka niczego nie podawała. Radia były skonfiskowane, więc żyło się bez świadomości zachodzących w świecie zmian. Nawet niektórzy Rosjanie mówili, że w naszej „Prawdzie” nie ma wiadomości, a w „Wiadomościach” nie ma prawdy. (W naszej „Prawdzie” niet izwiestii, a w „Izwestiach” niet prawdy). „Prawda” i „Izwestia” to były tytuły dzienników prasowych.

Nieoczekiwanie wkroczyły wojska węgierskie. Do Polaków żołnierze węgierscy odnosili się bardzo dobrze. Ukraińców natomiast traktowali prawie jak Żydów. Sielanka nie trwała długo. Pod koniec sierpnia 1941 roku, na skutek zabiegów Ukraińców, Węgrzy wycofali się za przedwojenną granicę Polski, na Ruś Zakarpacką (obecnie zwaną Zakarpatie). Znowu nastąpiło „bezkrólewie”. Po dwóch tygodniach nadeszła wiadomość, że mają przyjechać Niemcy. Ukraińcy na ich przywitanie na wysokości budynku przyszłej żandarmerii niemieckiej zbudowali bramę tryumfalną przybraną gałązkami świerkowymi. Na szczycie bramy umieszczono flagę niemiecką, a poniżej portret Hitlera. Po bokach były flagi ukraińskie, portrety Tarasa Szewczenki i Iwana Franka oraz ich godło - Tryzub. Komitet powitalny składał się z adwokata Rondiaaka, lekarza Kociubińskiego, nauczyciela Winnickiego i innych starszych panów. Czekali ubrani we fraki, pod muszkami, w melonikach. W ręku pan Rondiaak trzymał tacę z bochenkiem chleba i solą. Oczekiwanie trwało około 7 godzin. Dla pana Rondiaaka, który był w mocno podeszłym wieku (miał wtedy około 82 lat), oczekiwanie było męczące ze względu

na upał, więc chroniono go parasolem. Wokół zgromadziły się tłumy Ukraińców chcących uczestniczyć w powitaniu. Ja byłem w ogrodzie ciotki w bezpośredniej bliskości bramy, skąd mogłem bez przeszkód obserwować i słuchać tego, co się miało wydarzyć. Wreszcie nastąpiło poruszenie w zgromadzonym tłumie. Z ulicy Pistyńskiej, od strony Kołomyi, wjechał lekki samochód ciężarowy. Zatrzymał się około 100 m przed bramą, gdyż zgromadzony tłum nie pozwolił podjechać bliżej. Z szoferki wysiadło dwóch Niemców, a ze skrzyni zeskoczyło czterech. Porozglądali się i wolno podeszli w kierunku bramy. Rozmawiając, zatrzymali się przed bramą. Pan adwokat Rondiak podeszedł do nich z tacą, na której był chleb i sól, i zaczął ich witać najczystsza niemczyzną. Kończył przecież studia w zaborze austriackim, gdzie znajomość języka niemieckiego była obowiązkowa. Na to jeden z żandarmów o nazwisku Hucz, rodem z Poznania, zwrócił się do niego po polsku. Wskazał na bramę i spytał:

- Co to jest?

Rondiak zdumiony wyjaśnił, z konieczności również po polsku:

- Pośrodku jest flaga niemiecka i portret Hiltlera.

Hucz zniecierpliwiony powiedział ostrym głosem:

- To my wiemy, ale co jest po bokach?

- To są flagi ukraińskie i herb ukraiński oraz portrety naszych poetów i pisarzy narodowych.

Hucz po niemiecku przekazał informację komendantowi i pozostałym żandarmom. Komendant przekazał Huczowi swoją decyzję, który z kolei powtórzył ją po polsku Rondiakowi i całemu komitetowi powitalnemu:

- Portret Hitlera i flagę niemiecką zdjąć i zanieść na posterunek. Resztę natychmiast rozebrać. Wszystko porządnąć, porząbać i zanieść na posterunek.

Nastąpiła chwila ciszy, zdumienia i ogólnej konsternacji. Rondiak próbował jeszcze interweniować i wyjaśniać. Usłyszał okrzyk:

- Raus!

I Niemcy, wymijając ich, weszli do budynku, który od tej chwili stał się posterunkiem. Tak ci „biedni” panowie w swoich frakach pod muszkami musieli rozebrać i piłą porządnąć drągi na klocki i wraz ze swoimi flagami i portretami poznosić na posterunek niemiecki, gdzie to wszyst-

ko posłużyło za opał. Kilku panów z tego komitetu powitalnego odchorowało tę uroczystość.

Zaczęły się rządy niemieckie. Pojawiły się ogłoszenia w formie poleceń i nakazów. Nie wolno było bez zezwolenia, przed wywiązaniem się z obowiązkowych kontyngentów, niczego sprzedawać: zboża, mięsa, mleka, masła itp. Wszystkie zwierzęta zostały zakolczykowane, więc też nie wolno było nic zabić. Wprowadzony został absolutny zakaz wyprawiania skór i szycia kozuchów. Nastąpił więc okres zaciskania pasa. Główny dochód, jaki przynosiło kuśnierstwo, odpadł. Wprawdzie przychodzili ludzie z wiosek, gdzie po kryjomu bili barany, z prośbą uszycia kozucha oraz wyprawienia skór, ale to było niemożliwe.

Reaktywowano urzędy, które obsadzano Ukraińcami. Otwarto Urząd Pracy, zwany „Arbeitsamt”. Została powołana policja ukraińska. Wprowadzono godzinę policyjną od 22.00 do 6.00 rano oraz zaciemnienie. Żandarmi niemieccy na noc zamykali się na posterunku. Na parterze okna zabezpieczone były okiennicami, które co wieczór zamykał osobiście komendant ukraińskiej policji. Patrole pełnili tylko Ukraińcy. Miałoby być ciemne, bo światła na ulicach się nie świeciły, a okna w domach były szczelnie pozasłaniane. Jeżeli gdzieś przez szparę pojawiło się światło, wkraczali tam policjanci ukraińscy i karali mandatami. Ponieważ nie było w obiegu żadnych pieniędzy, to pierwsze mandaty polegały na przymusowym wykonaniu jakiejś pracy na rzecz miasta. Brak pieniędzy wymuszał handel wymienny. Ukraińcy wydrukowali swoje hrywny (złoty) oraz sotyki (grosze), wszystko papierowe, i postanowili puścić je w obieg. Nikt nie chciał ich przyjmować, ponieważ nie było żadnych oficjalnych decyzji. Po kilku dniach Niemcy wprowadzili emisję polski złoty. Wściekłość Ukraińców była ogromna. Nie mogli pogodzić się z faktem, że na ich Ukrainie środkiem płatniczym miał być polski złoty. Wówczas powstał czterowiersz:

Niemiecka Galicja
Ukraińska policja
Polska waluta
Żydowska pokuta.

Otwarto szkołę. Polacy i Ukraińcy uczyli się oddzielnie. Żydzi jeszcze mieszkali w swoich domach, ale mieli obowiązek nosić opaski z gwiazdą. Ogłoszenie informowało, iż zabrania się udzielania Żydom jakiej-

kolwiek pomocy. Za wszelką pomoc groziła kara śmierci. Jednak więzów sąsiedzkich nie można było tak po prostu przekreślić. Pomagaliśmy im w miarę możliwości przy zachowaniu największej dyskrecji. Klasy w szkole były łączone. Do mojej szóstej klasy dołączono piątą. W klasie było troje uczniów o wiele starszych. Spreparowane metryki urodzenia zrobiły ich o kilka lat młodszymi, by uchronić przed wywózką do Niemiec. Byli to: Janina Wołoszczuk, Danuta Dubiecka oraz Zygmunt Nickowski. Niestety, nie wszystkim dało się uchronić. Coraz bardziej wrogie nastawienie części Ukraińców do Polaków skutkowało tym, iż na roboty do Niemiec w pierwszej kolejności wywożono młodzież polską. Między innymi również moja najstarsza siostra Emilia w 1942 roku, wówczas dwudziestoletnia, otrzymała kartę powołania. Siostra bardzo chorowała na oczy, więc byliśmy przekonani, że komisja lekarska ją zwolni. Próżne nadzieje. Komisja składała się z lekarzy ukraińskich, więc nadzieja na zwolnienie prysła. Po dwóch tygodniach przyszło wezwanie dla mojej średniej siostry, 17-letniej Marii. Ojciec starał się na różne sposoby, by je odroczyć, ale wszelkie wysiłki były nadaremne. Prawą ręką Krejslajtera był volksdojcz Cisarz, z pochodzenia Czech, który dużo obiecywał, ale słowa nie dotrzymywał. Musiała więc siostra jechać. W domu rozpacz. Ponieważ dziewczyna była okazem zdrowia, więc nie można było liczyć, że jakimś cudem zostanie zwolniona. Ale cuda się zdarzają. Po przewiezieniu zebranego „kontyngentu” dziewcząt do Kołomyi na punkt zbiorczy, z którego następnego dnia prowadzono dość dużą kolumnę przez miasto na dworzec kolejowy celem przewiezienia do Lwowa (we Lwowie był główny punkt zbiorczy, gdzie urzędowała komisja lekarska), w drodze na dworzec nieznajomy mężczyzna idący chodnikiem, zapytał siostrę:

- Dziewczyno, czemu nie uciekniesz, przecież nikt was nie pilnuje, chcesz jechać do Niemiec?
- Nie chcę, ale jak ucieknę, to mogą moją całą rodzinę zabrać do obozu.
- Skąd jesteś i jak się nazywasz?
- Maria Sitnik z Kosowa.

We Lwowie partiami prowadzili dziewczęta na komisję lekarską. Wielkie słowa, komisja lekarska. Całe badanie polegało na tym, że jeden z komisji łapał delikwentkę za włosy przy karku, podnosił je do góry, a drugi dużymi nożycami je obcinał. Następnie delikwentka musiała



1942 r., siedzą: Magdalena i Józef Sitnikowie – rodzice, od lewej stoją dzieci: Maria i Jan (autor), fot. Arch. Jana Sitnika

pochylić się nad beczką z naftą. Wtedy dużym pędzlem polewano jej głowę naftą. Siostra miała piękne, czarne, gęste włosy zaplecione w dwa warkocze. Gdy zobaczyła co robią, rozpląkała się. Kiedy przysła jej koleję, zapytana, podała nazwisko. Odszukali ją na liście. Krótko wymienili między sobą jakieś uwagi, wypisali jakiś blankiet, wręczyli jej i powiedzieli:

- Diwczyno, idy do domu.

Siostra zdumiona, trzymając w ręku dokument, nie dowierzała usłyszanym słowom. Jeden z nich powiedział:

- Szczu, no chcesz wertaty sia do domu, to pojdziesz u Niemeczyczynu.

Wówczas jakby się ocknęła:

- Ni, ne Chocz u jichaty, chocz u wertaty sia do domu.

- No to skoreńko utikaj z widsiuda.

Podziękowała im i szybko wyszła, udając się prosto na dworzec. A na dworcu masa ludzi. Pociągi przepełnione. Idąc peronem, wypatrywała wolnego miejsca. Z jednego z wagonów wysiadło dwóch młodych ludzi. Zapytali:

- Pani do Stanisławowa?

- Dalej, do Kołomyi.

- No to proszę siadać i zająć się naszym kolegą, który też jedzie do Kołomyi, a dalej do Kosowa.

- W takim razie jedziemy razem, bo ja jestem z Kosowa.

Ten ich kolega był kaleką, miał krótszą i pokrzywioną prawą nogę. Chodził o kulach. W trakcie rozmowy siostra powiedziała, że jest Polką. Wówczas on nieśmiało spytał, czy nie mógłby się u nas zatrzymać, bo nie zna nikogo z Kosowa, ale uprzedził, że jest Ukraińcem.

- To nie ma nic do rzeczy i na pewno rodzice nie odmówią gościny - zapewniła siostra.

Czwartego dnia od wyjazdu siostra niespodziewanie wróciła do domu. Przedstawiła gościa i wyjaśniła, że jego koledzy pomogli jej w uzyskaniu miejsca w pociągu, a w Kołomyi on załatwił możliwość dojechania do Kosowa. Zapanowała ogólna radość, a zarazem zdumienie. Jak to się stało, że została zwolniona? Siostra pokazała otrzymany dokument o treści: „ze względu na stan zdrowia zwalnia się od obowiązku przymusowych robót”. Podpisy i pieczęć Głównej Komisji Lekarskiej, Lwów i data. Zainteresowanie Ukraińców faktem zwolnienia siostry, co

było rzadkością, było ogromne. Nie mieściło się im w głowach, że taka zdrowa dziewczyna okazała się nagle niezdolna do pracy dla Trzeciej Rzeszy. Musieli się jednak z tym pogodzić. Siostra z tym zaświadczeniem stawiała się w „Arbeitsamt”, gdzie w spisach przy jej nazwisku uczyniono odpowiednią adnotację i więcej nie była niepokojona.

Ten młody chłopak (nie pamiętam nazwiska) okazał się bardzo wesołym i dowcipnym towarzyszem. Opowiadał różne lwowskie kawały. Miał ładny głos, śpiewał żartobliwe piosenki, polskie i ukraińskie. W drugim dniu pobytu spytał, czy w przyszłości, będąc w Kosowie, będzie mógł zatrzymać się u nas. Oczywiście uzyskał zgodę. Jako powód przyjazdu do Kosowa wyjawiał, iż z tutejszej mleczarni bierze masło i przewozi je do Lwowa. Kiedy za jego trzecim pobylem byłem na galerii naszego domu, z ulicy wyszedł wysoki, dobrze zbudowany rudy dryblas i po ukraińsku spytał:

- Tu mieszka Sitnik?

- Tak.

- A jest - i tu wymienił nazwisko naszego gościa.

- Jest w mieszkaniu.

Wszedł i stanął jak wryty, bo toczyła się ożywiona rozmowa po polsku. Wywołał naszego gościa na galerię. Stałem za skrzydłem pełnych drzwi, więc nie widzieli mnie. Dryblas spytał naszego gościa:

- Co to, mieszkasz u Polaka?

- Tak, to bardzo mili i gościnni ludzie. Poza tym, kto będzie podejrzewał, że przebywam w polskiej rodzinie?

Jeszcze coś poszeptali i dryblas wyszedł. Następnego dnia nasz gość wyjechał. Więcej się nie pojawił.

Różnymi kanałami poprzez znajomych udało się zidentyfikować tego mężczyznę, który w Kołomyi wypytywał moją siostrę. Okazało się, że był to Ukraińiec, z zawodu fryzjer, któremu widocznie spodobała się czarniutka dziewczyna, a może jej piękne, długie warkocze. Mając znajomości w Komisji we Lwowie, zupełnie bezinteresownie uchronił siostrę przed wywózką do Niemiec. Siostra zaczęła uczęszczać do szkoły, do siódmej klasy, którą ukończyła w 1943 roku. Ja ukończyłem szóstą i ostatnią w szkole podstawowej. Później już nie miałem okazji ukończenia klasy siódmej.



Zgodnie z zarządzeniami, nie mając zaświadczenia o wykonaniu obowiązkowych dostaw zboża, mięsa, mleka itp., nie wolno było niczego sprzedawać na bazarze, jak również zabijać zwierząt, które były zakolczykowane, oraz szyc kozuchów. Nastał więc okres „zaciskania pasa”. Główny dochód, jaki przynosiło kuśnierstwo, odpadł. Za obowiązkowe dostawy otrzymywało się niewielkie pieniądze. Obowiązywały kartki na cukier, masło, sztuczny miód, buty z drewnianymi spodami, a także na wódkę. Wprawdzie przychodzili ludzie z wiosek z prośbą o wyprawienie skór i uszycie kozucha, ale mając trzech sąsiadów Ukraińców, którym nie można było ufać, utrzymanie w tajemnicy wykonywania prac kuśnierskich było niemożliwe. Latem 1943, z sąsiedniej wioski Chomczyn, przyszedł znajomy gospodarz do ojca z prośbą o wyprawienie 6 skór baranich i uszycia kozuchów i kiptara. Ponieważ był to człowiek godny zaufania, więc ojciec u niego w domu dokonał wyprawienia skór i wykonał całą technologię umożliwiającą szycie. Wyprawione skóry po dwie sztuki przywoził na furmance. Zajeżdżał na podwórze, zostawiał furmankę, udawał się do centrum miasta, a po powrocie dyskretnie wnosił skóry do domu. W domu zostały one złożone w „bambetlu”. Był to mebel w postaci długiej, drewnianej skrzyni przypominającej ławę. Po zdjęciu przykrywającej deski, rozsuwało się go, a do wewnątrz wkładało się siennik lub materac, tworząc rodzaj łóżka do spania. Po złożeniu mebel przypominał normalną ławę. Pewnego czerwcowego dnia, gdy rano szedłem do szkoły, mama powiedziała, że będą z ojcem w polu, a ja, gdy wrócę, to około godz. 13.00 mam napoić krowę. Klucz do domu był w oznaczonym miejscu. Ze szkoły wróciłem około godz. 12.00. Domu nie otwierałem. Byłem na podwórzu. Nagle z ulicy weszło na podwórze dwóch niemieckich żandarmów. Jeden o nazwisku Hucz pochodził z Poznania, więc świetnie mówił po polsku. Drugi był rodowitym Niemcem. Weszli na podwórze, kierując się do drzwi. Ponieważ były zamknięte, spytali:

- Gdzie są rodzice?
- Rodzice są na polu – odpowiedziałem. - A ja dopiero wróciłem ze szkoły i czekam na nich.
- Otwórz dom!
- Nie mam klucza.



1936 r., Kosów Huculski, Góra Miejska, miejsce rozstrzelania 2500 Żydów, fot. Arch. Jana Sitnika

- A kiedy rodzice wrócą?
- Może za 2-3 godziny.

Żandarmi odwrócili się i poszli ulicą w kierunku żandarmerii. Ulica w odległości około 60 m skręcała w prawo. Obsadzona była żywopłotem. Żandarmi zatrzymali się za zakrętem i obserwowali dom, o czym nie wiedziałem. Trochę zgłodniałem, więc wziąłem ze schowka klucz i otworzyłem dom. Posmarowałem smalcem kromkę chleba, a ponieważ zbliżała się godz. 13.00, wziąłem wiadro, nabrałem wody ze studni, przelałem do przyniesionego wiadra i zaniósłem do stajni, żeby napoić krowę. Krowa wodę wypila, a gdy wyszedłem ze stajni, zobaczyłem na podwórzu żandarmów.

- A jednak masz klucz.

W pierwszej chwili wystraszyłem się, że zabiją mnie za kłamstwo. Szybko otrząsnąłem się z zaskoczenia i powiedziałem, że byłem głodny, więc poszukałem klucza w miejscach, gdzie nieraz był chowany, no i przy okazji napoiłem krowę. Weszli do mieszkania, do kuchni, w której oprócz szafki i półki na naczynia, stołu, krzeseł, ławy pod oknem i tegoż „bambetla” innych sprzętów nie było. Potem przeszli do pokoju. Tam popatrzyli w szafach, w łózkach i pod łózkami. To samo w drugim pokoju oraz w spiżarni.

- Czy jest piwnica?
- Jest - odpowiedziałem i poprowadziłem ich do wejścia do piwnicy. Otworzyłem drzwi i powiedziałem:

- Proszę.

- Ty idź pierwszy.

Jeden szedł za mną. Latarką oświetlił piwnicę, w której było jeszcze trochę ziemniaków.

- Gdzie jest wejście na strych?

Poprowadziłem ich do schodów wiodących na strych.

- Proszę.

- Ty idź pierwszy.

Wszedłem, a za mną żandarm. Ponieważ na strychu nic nie było, więc ze schodów popatrzył w lewo w prawo i zszedł na dół. Poszliśmy do drewnutni. Otworzyłem ją, tam oprócz polan drewna nic innego nie było.

- Teraz do stajni.

W pierwszej części stajni były złożone resztki siana i sieczkarnia. Jeden z żandarmów wziął widły i usiłował przekładać siano. Powiedziałem do Hucza:

- To daremna praca. Przecież widać, że siano jest zleżałe od tamtego roku. Gdyby było coś pod sianem, to byłoby spiętrzone, a nie tak uleżałe. Hucz odstawił widły, wszedł na drabinkę, spojrzał na strych, na którym były ostatki suchej koniczyny. Zszedł z drabiny. Obaj weszli do drugiej części, gdzie stała krowa. Ta część była przegrodzona parkanikiem z desek, za którymi znajdowało się stanowisko dla drugiej sztuki bydła, a aktualnie leżała tam słoma służąca za podściółkę. Ponieważ krowa była karmiona „zielonką”, więc odchody były rzadkie. Załatwiając się, zabrudziła odchodami słupek od furtki, umożliwiającej wejście do drugiej części. Ten drugi żandarm, Niemiec, podszedł, oparł się ręką o słupek i nachylił się, zaglądając za parkanik. Nachylając się, dotknął prawą nogawką spodni słupka i zabrudził się odchodami. Jak się cofnął i obaczył, co ma na spodniach, to w pierwszej chwili myślałem, że dostanie apopleksji. Ochłonawszy, zaczął „farfluchtować”. Więc chwyciłem pęk słomy i zacząłem wycierać, i zbierać odchody ze spodni. Wytarłem prawie do sucha, ale zabrudzenia i smrodu nie dało się usunąć. Powiedziałem do Hucza, że jak najszybciej trzeba spodnie wypłukać w zimnej wodzie, a potem wyprać z mydłem, to nie będzie plamy. Wyszli ze stajni, poszli i nie zaglądali już do chlewa. Około godz. 15.00 rodzice wrócili z pola. Oznajmiłem im, że była rewizja, szukali skór. Twierdzili, że tato wyprawa skóry i szyje kozuchy. Ojciec zbladł i spytał:

- No i co?

- Ano nic.

Opowiedziałem o przebiegu całego zajścia. Skór nie znaleźli, bo nie znali funkcji „bambetla”. Był to jedyny przypadek podjętego ryzyka uszycia kozuchów. Pomimo zachowywania jak największej ostrożności, ktoś z sąsiadów musiał zauważyć, jak chłop wyjmował coś z wozu i zanosił do domu. Podejrzewając słusznie, że mogą to być skóry, doniósł. Pewnie był rozczarowany, że żandarmi niczego nie znaleźli. Ojciec jeszcze czasami, ale bardzo rzadko, chodził do domów tych, którym można było zaufać i tam szył. Było to możliwe, ponieważ wieś Chomczyn była położona w pagórkowatym terenie z rozproszoną zabudową, co pozwalało na pewną dyskrecję.

Na początku czerwca 1942 roku przyjechało komando Gestapo. Ogłoszono, że wszyscy Żydzi mieli zgłosić się w budynku byłego sądu, skąd będą przesiedlani na Ukrainę, za Zbrucz, do pracy w byłych kołchozach. Większość przyszła dobrowolnie. Zapelniono nimi były areszt sądowy oraz cały dziedziniec. Ukraińska policja oraz osoby cywilne chodzili po domach i jeżeli znaleźli tam osoby, które się nie zgłosiły, spędzali je, bijąc kijami. Nie wszystkich wyłapali. Część ich się przechowała. Byli to ci, którzy ukrywali się poza swoim domem.

Pewnego wieczoru nasz sąsiad, kolega ojca, Kazimierz Wołoszczuk, został zatrzymany w mieście wraz z kilkunastoma mężczyznami. Po zaopatrzeniu w szpadle zaprowadzono ich na Miejska Górkę i nakazano w dawnej fosie zamkowej stromo okopać brzegi wzdłuż fosy. Tak uzyskaną ziemią mieli wypełnić wgłębienie poprzeczne, tworząc ścianę, aby całość osiągnęła kształt wielkiego dołu. Praca trwała całą noc. Nikt nie wiedział, do jakiego celu ma służyć. O ironio losu! Był z nimi również jeden Żyd, który pierwszy został zabity. Rano od godz. 7.30 zaczęto grupami doprowadzać Żydów, a od godz. 8.00 zaczęło się rozstrzeliwanie. Gdy utworzył się zwał trupów, wówczas tych, co kopali, zaganiano do dołu, by układali trupy warstwami. Najgorszy moment nastąpił, gdy trzeba było układać drugą warstwę i chodzić po miękkich ciałach czasami jeszcze żywych ludzi. Sami nie byli pewni, czy na koniec i ich nie rozstrzelają. Akcja trwała z niemiecką pedanterią od 8.00 do 13.00, godzina przerwy i znowu od 14.00 do 18.00. Po godz. 18.00 tych, których nie zdążono zabić pierwszego dnia, odprowadzano z powrotem na

dziedziniec sądowy. Mężczyzn, którzy kopali i układali zwłoki, puszczo-
no wieczorem wolno. Drugiego dnia do układania zwłok złapano in-
nych, a Żydów, którzy zostali żywi, po godz. 18.00 wypuścili wolno. Gdy
kolega ojca, Kazimierz, przyszedł wieczorem po pierwszym dniu akcji,
był w strasznym szoku. Chwilami sprawiał wrażenie jakiegoś obłąkania.
Sama masakra nie była najgorszym przeżyciem. Biorąc udział w I wojnie
światowej, w jakiś sposób obyli się z widokiem zabitych. Najgorsza była
konieczność chodzenia po ciałach przy układaniu kolejnych warstw. Do
tego upał, opary z krwi, jęki i krzyki. Często, chodząc po zwłokach, ła-
pani byli za nogi przez tych, którzy byli tylko ranni. Na ile mogli, starali
się ich podciągać do górnej warstwy. Dzięki temu kilka osób przetrwało
do wieczora i dołało się uratować.

W dzień, gdy zaczęła się akcja rozstrzeliwania, po pierwszej lekcji
przyszła pani dyr. Celina Czopeńko i powiedziała:

- Dziś i jutro lekcji nie będzie. Idźcie do domu, a książki i zeszyty nieście
tak, żeby były widoczne. Idźcie tylko ulicami, nie żadnymi ścieżkami
i nie chodźcie niepotrzebnie do miasta.

Wracając do domu, ujrzałem kolumnę Żydów, około 100 osób, pro-
wadzonych na Miejską Górkę przez 4 esesmanów. Na końcu tej kolum-
ny szedł adwokat Hazelman, trzymając za rękę swego syna, a mego ko-
legę z klasy, Imka. Odwrócił się, dostrzegł mnie i kiwnął ręką. Bałem się
dać mu jakiś znak, gdyż za mną stał esesman, który sprawdzał mieszka-
nia. Jeżeli gdzieś spotkał Żydów, którzy pozostali w domu, wyprowadzał
i zabijał przed domem. Tak było przed domem państwa Hilmanów, któ-
rzy mieli zakład trykotarsko-dziewiąrski, a których chwilę wcześniej ów
esesman zastrzelił. Były to cztery osoby, Hilmanowie oraz dwie córecz-
ki, ośmio- i dziesięcioletnia. Drugiego dnia po zakończeniu akcji Gesta-
po wyjechało i Żydzi, którzy nie zostali rozstrzelani, i ci, którzy zdołali
się ukryć i przetrwać w ukryciu te dwa straszne dni, wrócili do domów.
W tej akcji zamordowano ok. 2500 osób. Część rodzin składających się
z osób dorosłych zdolnych do pracy zgromadzili w getcie w Kosowie,
pozostałym nakazano zgłosić się do Kołomyi. Ostrzeżono ich, że kto
się nie podporządkuje, będzie rozstrzelany. Nasz sąsiad Mendel FINDER
zdołał się ukryć. Wrócił do domu. Późnym wieczorem przyszedł i zaczął
prosić ojca, by przyjął na przechowanie trochę rzeczy.

Prosił:

- Może przeżyję, więc żeby miał chociaż w co się ubrać i sprzedać,
żeby przeżyć.

Ojciec nie chciał się zgodzić, bo gdyby się wydało, groziło to śmiercią.
Drugim argumentem było to, że ubrania jego były za małe na ojca, a na
mnie za duże. W razie ujawnienia odpadałaby wymówka, że są to rzeczy
własne, kupione. Mendel jednak nalegał, by przyjąć bieliznę pościelową,
kołdry, maszynę do szycia oraz trochę zboża i ziemniaków.

- Twoja córka szyje, więc możesz powiedzieć, że maszynę kupiłeś, a na
innych rzeczach nie ma napisane, że są żydowskie.

W końcu ojciec się zgodził. Gdy zaczęli znosić rzeczy, okazało się, że
przynieśli wszystko. Uformowali się w cztery osoby. Zawsze jedna osoba
była w mieszkaniu, więc nie można było zamknąć drzwi, by przerwać
ten proceder. Gdy tylko zdarzył się taki moment, że nikogo z nich nie
było w mieszkaniu, drzwi zostały zamknięte. Mendel zapukał w okno:

- Jeszcze ziemniaki.

Ojciec, nie chcąc otwierać drzwi, podał przez lufcik klucz od drewni-
ni, żeby tam zaniósł kosze z ziemniakami. Gdy rano ojciec wszedł do
drewni, zmarł. Oprócz koszy z ziemniakami był jeszcze stos innych
rzeczy. Przenieśli chyba wszystko, co mieli w domu. Ten stos rzeczy zo-
stał przykryty sianem. Rzeczy, które były w domu, matka porozkładała
w szafach. Zboże ojciec wysypał do naszego. Jeszcze tego wieczora, kiedy
nosili rzeczy, ojciec spytał Mendla:

- Ja twoich rzeczy nie chcę i kiedy się zgłosisz, wszystko zwrócę, ale
powiedz, kto o tym wie, że ty powierzyłeś mi swoje rzeczy?

On dał słowo honoru, że nikt.

- Tylko ty i ja.

Następnego dnia Mendel z rodziną został zabrany do getta w Kołomyi,
skąd, niestety, nie wrócił. Miał szwagra, z którym nie żył w zgodzie. Cią-
gle się gniewali i kłócili. A jednak Mendel powiedział mu o wszystkim.
Pewnego jesiennego wieczoru, gdy mieliśmy już udać się na spoczynek,
usłyszeliśmy delikatne pukanie w okno. Ojciec doszedł do drzwi.

- Kto tam?

- To ja, Gerszon, otwórz.

Ojciec otworzył drzwi i wpuścił go. Gerszon usiadł, poprosił o coś do
zjedzenia. Mama coś naprędce przygotowała i gdy zjadł, zażądał wyda-
nia butów szwagra, żeby sprzedać i uzyskać środki na życie.

- A skąd ty wiesz, że jego buty są u mnie? - spytał ojciec.
- Wiem, bo on mi powiedział, że jego wszystkie rzeczy są u ciebie.
- Słuchaj Gerszon. To są rzeczy twego szwagra Mendla, a nie twoje. Ja będę ci dawał, a jak on wróci i zażąda tych rzeczy, to co ja mu powiem? Pomyśli, że nie chcę ich mu oddać. Przynieś od Mendla kartkę z jego podpisem, który dobrze znam, że mam tobie wydać jego rzeczy, to wydam ci wszystko. Tak na gębę nie mogę ci nic dać!

Garszon zamilkł, ale po chwili zaczął nalegać i prosić, że on się postara o kartkę, ale teraz potrzebuje, bo nie ma za co żyć. Ojciec dał mu te buty. Żyd podziękował, pożegnał się i poszedł. Po paru dniach znów przyszedł, żądając wydania męskiego futra (pelisy). Ojciec kategorycznie odmówił.

- Dopóki nie przyniesiesz kartki od szwagra, nic nie otrzymasz.

Gerszon, nie nalegając, poszedł. Po dwóch dniach na podwórze zjechał niemiecki żandarm. Wszedł do mieszkania i łamaną polszczyzną spytał:

- Tu mieszka Sitnik Józef?

- Tak - odpowiedział ojciec.

Żandarm wyjął z kieszeni munduru kartkę.

- U pana znajdują się żydowskie rzeczy. - I wyszczególnia z kartki po kolei. Skończył i spytał:

- Są?

- Są - odpowiedział ojciec.

- Proszę wszystko przygotować. Zaraz przyjedzie furmanka i zabierze rzeczy.

Mama zdenerwowana wyciągnęła wszystko z szafy i poukładała na stole. Żandarm cały czas jej asystował. Najbardziej obawiała się, że Niemiec każe wszystko wyjąć z szafy, w tym i nasze rzeczy. Żandarm nic nie mówił, tylko sprawdzał z posiadaną listą wykładane rzeczy. Maszyna do szycia? Jest maszyna do szycia. Dwie stem deki? Nie wiadomo, o co chodziło, a on nie umiał wytłumaczyć. Rozglądnął się, odwinął kapek przykrywającą łóżko, pokazał kołdry i powiedział:

- Oto stem deki. A pszenica i żyto gdzie są?

- W spiżarni, ale razem z moim, nie ma tyle, ile pan ma zapisane. Proszę odsypać do worków tyle, ile jest jego.

- Kartofle?

- Są w drewnutni oraz kupa rzeczy pod sianem.

Przyjechała furmanka i Żydzi z getta załadowali wszystko na wóz. Wynosząc ziemniaki w koszach, żandarm spytał:

- A kose?

Ojciec wyniósł kosę i rzucił na wóz. Żandarm pokazał na kosze, w których były ziemniaki, bo nie wymawiał „sz” tylko „s”.

- Też jego - powiedział ojciec.

Po załadowaniu żandarm kazał Żydom jechać, a ojca spytał:

- Czy pan wie, że nie wolno przechowywać żydowskich rzeczy i co za to grozi?

- Wiem, ale niech pan zrozumie, że my tu żyliśmy w sąsiedztwie od lat. Nigdy między nami nie dochodziło do kłótni. Jak przychodzi człowiek i prosi, żeby przechować mu trochę rzeczy, bo może przeżyje, żeby miał w co się ubrać i ewentualnie sprzedać, to co pan by zrobił, będąc na moim miejscu?

- Ja pana rozumiem, ale wie pan, że nie wolno.

- Wiem, że nie wolno, ale co mogłem zrobić, gdy człowiek może w obliczu śmierci prosi o przysługę?

Żandarm nic na to nie odpowiedział, wsiadł na rower i odjechał. Był to prawdopodobnie Ślązak z wówczas niemieckiego Śląska i jeszcze nie wyzbył się cech ludzkich, dlatego też nie ponieśliśmy żadnych konsekwencji.

Jesienią 1942 roku, późnym wieczorem, przyszedł syn drugiego sąsiada, Nusym Meir. Prosił o coś do zjedzenia i po posiłku zwrócił się do ojca:

- Panie Sitnik, co mam zrobić? Zapłaciłem chłopu na Chomczynie za cielaka. Chciałem go zabić, sprzedać mięso i zarobić trochę pieniędzy, żebym miał za co przeżyć. Poszedłem po cielaka, a chłop mnie wyrzucił z domu. Zostałem bez środków do życia i nie wiem, czy iść do Niemców, niech mnie zabijają, czy umierać z głodu. Żebrać nie mogę, żeby ktoś udzielający mi pomocy nie naraził się Niemcom. Niech pan mi doradzi.

- Słuchaj Nusym. Wiesz, jaka jest sytuacja. Według zarządzeń przebywasz tu nielegalnie. Jak ci powiem, żebyś poszedł na żandarmerię, to mogą ciebie zaprowadzić na kirkut i zabić. Do ostatniej chwili życia będziesz miał żal do mnie, że posłałem ciebie na śmierć, a ja będę miał wyrzuty sumienia, że swoją radą przyczyniłem się do tego. Nikt tobie

nie jest w stanie poradzić. Ty sam musisz zdecydować.

Nusym Meir posiedział chwilę, podziękował za kolację i wyszedł. Następnego dnia około godz. 11.00 ojciec był na podwórzu i zobaczył, jak Nusym idzie do miasta. Ojciec spytał go:

- Gdzie idziesz?

- Idę na żandarmerię. Wszystko mi jedno: czy ginąć z głodu, czy męczyć się czekaniem, kiedy mnie złapią i zabiją. Niech raz się to skończy.

I poszedł. Po około dwóch godzinach ojciec zobaczył żandarma jadącego na rowerze, a za nim Nusyma idącego obok. Skierowali się do wsi. Po kilku dniach Żyd przyszedł do nas i opowiedział cały przebieg zdarzenia.

- Przyszedłem na żandarmerię i opowiedziałem Niemcom wszystko o sobie i dlaczego nie chcę się już dalej ukrywać.

- Pan wie, że przebywa tu nielegalnie i może być dzisiaj zastrzelony.

- Wiem i po to przyszedłem.

- Ponieważ panu wyrządzono krzywdę i przyszedł pan szukać sprawiedliwości, to pan ją otrzyma. Idziemy do tego chłopca, co nielegalnie zabił cię.

- Była to odległość około siedmiu, ośmiu kilometrów. Gdy przyszlśmy, zastaliśmy drzwi zamknięte. Postukaliśmy w drzwi i okna, ale nikt nie otworzył.

- Przynieś słomy i kładź pod dom, to zaraz będzie gospodarz – nakazał żandarm.

- Naniósłem słomy, żandarm zapalił zapalniczkę i chciał podpalić słomę. Wówczas gospodyni, która zamknęła się w domu, gdy nas zobaczyła, otworzyła drzwi. Na powitanie została pobita. Żandarm, przeszukując dom, znalazł mięso z zabitego cielaka. Kazał mięso zapakować do worka i zapytał:

- Gdzie gospodarz?

- Nie ma go, poszedł do szwagra na Czerhanówkę.

- Żandarm kazał mi wziąć worek z mięsem, a do gospodyni powiedział:

- Za 15 minut mąż ma się zgłosić na żandarmerii. Za każde 5 minut spóźnienia 500 zł kary.

- I poszliśmy z powrotem na żandarmerię. Ponieważ z Chomczyna na Czerhanówkę jest około 15 km, a z Czerhanówki do Kosowa około 4 km, więc spóźnienie chłopca liczyło się w godzinach. Gdy w końcu przyszedł

został mocno pobity. Wyznaczono mu karę za nielegalny ubój, za każde 5 minut spóźnienia po 500 zł kary, a mięso z workiem dali mnie.

- Kupiłeś, to jest twoje. Szukałeś u nas prawa, więc postąpiliśmy zgodnie z prawem. Teraz możesz iść, a za pół godziny będziemy ciebie szukać. Jak znajdziemy, zostaniesz zastrzelony.

- Wybiegłem, worek z mięsem wyrzuciłem za żywopłot do ogrodu, bo z workiem było niewygodnie uciekać. Widzieliście, jak uciekałem. Dobrze, że Wasyl Lulczuk powiedział, żeby uciekał wodą (potokiem), to pies zgubi ślad.

Faktycznie, po około godzinie od chwili, gdy Nusym zaczął uciekać, ukazało się dwóch żandarmów na rowerach i z psem na linie. Pies nieomylnie prowadził ich za tropem uciekającego. Tak doszli do potoku. Chociaż szukali po obu brzegach na sporej odległości w górę i w dół potoku, pies śladu nie podjął. Nusym opowiedział nam tę historię, pożegnał się i poszedł. Niestety, już więcej nie dał znaku życia. Nie słychać było, by go złapali. Prawdopodobnie zabili go Ukraińcy z zemsty za tego chłopca, chociaż były przypadki, że brano od Żydów dolary czy biżuterię za przechowanie. Albo sami zabijali, albo wydawali ukraińskiej policji, która nie wyciągała żadnych konsekwencji za przechowywanie Żydów. Gdyby to byli Polacy udzielający Żydom schronienia, to nie miałyby znaczenia, że ich wydali. Za sam fakt udzielania pomocy zostaliby zabici razem z Żydami. Nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś z Polaków przechowujący Żyda wydał ich Niemcom. Natomiast były dwa wypadki w Kutach i jeden w Kosowie, że na skutek donosu zastrzelono przechowywanych Żydów i całe rodziny, które udzieliły schronienia.

Pod koniec 1943 roku całe „komando” żydowskie wykorzystywane do różnych prac przewieziono do Kołomyi, gdzie w lasach koło wsi Szyparówka zostali zabici. Tam też zabijano Żydów z kołomyjskiego getta.

W związku z wprowadzeniem godziny policyjnej od 22.00 do 6.00 w kościele w Wigilię pasterka zaczynała się o godz. 18.00, tak żeby po mszy ludzie zdążyli dojść do swoich domów.

Po pasterce w 1943 roku ksiądz Wołoszczuk, rezydent w parafii, zebrał nas kilkunastu chłopców, którzy mieszkali niezbyt daleko, i powiedział:

- Chodźmy zakolędować do najbliższych domów.

Kolędowanie zeszło nam do 21.30.

- Idźcie szybko do domu, by policja ukraińska was nie zgarnęła - powiedział ksiądz i poszedł do domu.

Ale my nabraliśmy ochoty do dalszego kolędowania, więc rada w radę poszliśmy na niemiecką żandarmerię poprosić o pozwolenie. Podeszliśmy pod budynek. Była już prawie 22.00. Przez szpary w okiennicach widzieliśmy światło. Był to dla nas znak, że żandarmi jeszcze nie spali. Zamiast pukać, zaczęliśmy śpiewać kolędę - naturalnie po polsku. Skończyliśmy. Cisza, żadnej reakcji. Zaśpiewaliśmy następną kolędę. Znowu cisza i żadnej reakcji. Z nieopodał położonego posterunku ukraińskiej policji powychodzili wszyscy policjanci i patrzyli w naszą stronę. Więc zaczęliśmy śpiewać trzecią kolędę. Postanowiliśmy śpiewać, aż do jakiejś reakcji ze strony Niemców. Nie mogliśmy odejść, bo Ukraińcy natychmiast by nas zatrzymali. Po skończeniu trzeciej kolędy w korytarzu usłyszeliśmy jakiś ruch. Otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich żandarm Hucz i komendant, a za nimi dwóch żandarmów z automatami w pogotowiu. Hucz podziękował nam, że, kolędując, przypomnieliśmy im rodziny i święta spędzone w ich gronie. Odwrócił się, chcąc wejść z powrotem do korytarza. Wtedy jeden z kolegów zawołał:

- Proszę pana, mamy wielką prośbę.

Hucz zatrzymał się i spytał:

- Jaką, o co chodzi?

Kolega zaczął wyjaśniać, że u nas taki zwyczaj, że w wieczór wigilijny chodzi się po kolędzie. Ponieważ godzina policyjna już minęła i powinniśmy być już w domu, poprosiliśmy o pozwolenie na kolędowanie. Hucz przekazał naszą prośbę komendantowi, który zaczął kiwać potakująco głową, mówiąc:

- Ja, ja - i jeszcze coś po niemiecku.

Hucz przetłumaczył:

- Macie zgodę, możecie chodzić całą noc.

- Dziękujemy, ale Ukraińcy zaraz nas zatrzymają. Nie wiemy, co mamy robić!

- Nie martwcie się, my ich zawiadomimy. Nikt nie ma prawa was zatrzymać. Gdyby coś się jednak zdarzyło, to jutro nas macie zawiadomić. Jeszcze raz podziękowaliśmy i poszliśmy kolędować. Ludzie byli zdumieni, słysząc pod oknami kolędników o tak późnej porze. W wielu domach ludzie już spali, ale gdy zaśpiewaliśmy, zaraz robił się ruch

w domu. Otwierały się drzwi i zapraszano nas do mieszkania. Z troską pytano, czy nie boimy się, że nas zatrzymają. Z uśmiechem informowaliśmy, że mamy pozwolenie od Niemców. Za kolędę nic nie braliśmy. Częstoowano nas jabłkami albo orzechami włoskimi. Wtedy nie odmawialiśmy. Traktowaliśmy to jako coś, co przynajmniej na chwilę przyniesie ludziom radość. Tak kolędowaliśmy prawie całą noc. Wróciłem do domu po godzinie czwartej. W domu rodzice byli bardzo niespokojni, bo nie wiedzieli, co się ze mną działo.

Wrogość Ukraińców do Polaków stopniowo narastała. Słyszało się głosy, że Ukraińcy skończyli z Żydami, teraz kolej na Polaków. Już od 1943 roku dochodziły wieści z Podola (tarnopolskie) o mordach i napadach na dwory. Większość Polaków nie chciała w to wierzyć. Mówili: - Pewnie dziedzic był zły dla ludzi, więc z zemsty go zabili. Przecież tyle lat tu wspólnie żyjemy, wiele małżeństw jest mieszanych, dlaczego i za co mieliby nas mordować!

Niestety, okazało się, że największą winą Polaków było to, że byli Polakami.

W mojej klasie miałem dwóch kolegów, braci Hawrotów, Kazika i Zbyszka. Ich rodzice mieszkali w Żabiu. Ojciec był leśniczym. Mieli starszego brata, który mieszkał z rodzicami. Oni mieszkali na stacji w Kosowie, u pana Kozłaniuka, by mogli uczęszczać do szkoły. Kazik był w szóstej klasie, a Zbyszek w piątej. Pewnego dnia na początku czerwca została wywołana z klasy nauczycielka, pani Miłoś. Po chwili weszła z młodym człowiekiem. Był to najstarszy syn Hawrotów. Pani Miłoś powiedziała do Kazika i Zbyszka:

- Brat przyjechał po was. Możecie wyjść.

Wyszli z ławek, przywitali się z bratem, który rozplakał się. Zdziwieni zachowaniem brata spytali:

- Co się stało, czemu płaczesz?

- Rodzice nie żyją. Idziemy.

Rozpacz, szczególnie 12-letniego Zbyszka, była nie do opisanie. Zresztą wszyscy w klasie byli wstrząśnięci ich tragedią. Przebieg jej opowiedział najstarszy z Hawrotów. Wieczorem do ich domu przyszło dwóch policjantów ukraińskich (bestie nie ludzie). Powiedzieli:

- Muszą państwo udać się z nami na posterunek.

Gdy rodzice wyszli, policjanci obezwładnili ich, zaprowadzili do

sadu, rozebrali do naga, zakneblowali, przywiązali drutem kolczastym do pnia gruszy i nakłuwali bagnetem aż zmarli z upływu krwi. Potem brat powiedział:

- Na szczęście mnie nie było w mieszkaniu, byłem u sąsiada. Gdy wróciłem do domu, pod kuchnią palił się ogień, bo mama szykowała kolację, ale w mieszkaniu nikogo nie było. Myślałem, że rodzice są gdzieś w obejściu i zaraz wrócą. Po dłuższej chwili zacząłem ich szukać. Nigdzie ich nie było. Poszedłem do sąsiadów, u których nieraz bywali. Tam też ich nie było. Bardzo zaniepokojony wraz z sąsiadami zacząłem poszukiwania. Jeden z sąsiadów, skracając sobie drogę do domu, szedł przez sad i tam natknął się na rodziców, już nieżywych. Natychmiast więc spakowałem trochę rzeczy i przyszedłem tu, żeby was zabrać. Jedziemy w nasze rodzinne strony, w okolice Krosna.

Jesienią 1942 roku Niemcy zrobili nabór do dywizji SS-Hałyczyna (Galicja). Pobór obejmował ochotników, młodych mężczyzn, przeważnie blondynów nie niższych jak 170 cm wzrostu. Zgrupowano ich w budynku byłego sądu grodzkiego. Dla przewiezienia ich do miejsca formowania się dywizji użyto dwóch samochodów ciężarowych. Zgromadziły się rodziny, których synowie odjeżdżali na wojnę, oraz tłum ciekawskich. Żandarmi niemieccy z pistoletami w ręku i psami na smyczy nikogo nie dopuszczali do samochodów. Zbliżających straszili użyciem broni i szczuli psami. Powstało zamieszanie. Rozległ się płacz i krzyki. W tym zamieszaniu udało się podejść do samochodu dwojgu starszym ludziom, którzy chcieli pożegnać się z dwoma synami. Nagle zza samochodu wyskoczył żandarm z psem i pejczem w ręku. Zaczął walić tym pejczem na oślep mężczyznę po głowie. Pies przewrócił kobietę. Oboje padli w błoto. Pies szarpał i rwał kożuch kobiety. Żandarm dalej pejczem bił mężczyznę. Synowie patrzyli na to bez jakiegokolwiek słowa sprzeciwu. Kiedy staruszkom udało się wyczołgać spod rąk między zgromadzony tłum ludzi, wówczas jeden z synów zawołał:

- Nie płaczcie, tato i mamó, my wam przywieziemy Ukrainę, jak nam włosy wyrosną na dłoni.

Wreszcie samochody ruszyły i ochotnicy odjechali bez możliwości pożegnania się z najbliższymi.

Pod miejscowością Brody (Iwowskie) Sowietci rozbili całą dywizję. Niemcy wycofali niedobitków, przeformowali ich i odesłali na tyły do

zwalczania partyzantki polskiej. Szczególnie wślawili się w tłumieniu powstania warszawskiego, przede wszystkim w rzezi ludności dzielnicy Warszawa-Wola. Niesłusznie określano ich jako Własowców, bo to byli Ukraińcy spod znaku „Tryzub”, którzy z przyjemnością mordowali ludność zajmowanych dzielnic. W okrucieństwie prześcignęli swoich nauczycieli, Niemców z SS. Wielu z nich osiedliło się po wojnie w Polsce, podając się za Polaków. Wielu ucieкло do stref zajętych przez aliantów i osiedlili się w Kanadzie, USA, w krajach Ameryki Południowej oraz Australii. Posługiwali się dokumentami nieżyjących Polaków, na których nie było zdjęcia. Dowodem był fakt, że jeden z dwóch rodzonej braci żyjących na Ukrainie nazywał się Fedorenko, a ten w Polsce Sawicki. Zgłoszenie takich przypadków do milicji czy UB było bezcelowe, ponieważ władze ich chroniły. Byli oni śledzeni i jeżeli zajmowali się działalnością wrogą wobec państwa, wtedy aresztowano ich wraz z całą grupą.

W Kosowie mieszkał niejaki Fokszej, który pełnił funkcję kierownika mleczarni. On też ochotniczo wstąpił do dywizji SS Hałyczyna. Po wojnie osiedlił się na Mazurach i był kierownikiem PGR-u. Mój kuzyn, Leon Tarnawski, w 1948 roku jako oficer WOP i dowódca straży, jadąc raz gazikiem przez miasteczko, zauważył Fokszeja. Znał go dobrze, bo chodzili do jednej klasy szkoły podstawowej. Zatrzymał samochód, podszedł do niego i spytał:

- Co ty tu robisz?

Fokszej z uśmiechem odpowiedział:

- Mieszkam tu i pracuję, jestem kierownikiem PGR-u.

Kuzyn zabrał go do gazika i podjechał pod Urząd Bezpieczeństwa. Tam opowiedział, kogo przyprowadził i kim on był w czasie wojny. Po spisaniu protokołu kuzynowi podziękowano. Oświadczone:

- Teraz my się nim zajmujemy.

Po tygodniu, jadąc gazikiem przez miasteczko, ze zdziwieniem zobaczył Fokszeja stojącego przed jednym ze sklepów. Zatrzymał się, podszedł do niego i spytał:

- A co ty tutaj robisz, uciekłeś czy zwolnili cię?

- Jak sam widzisz, zostałem zwolniony.

Kuzyn udał się na UB z pretensjami, dlaczego ten „rezun” został zwolniony.

- To nie wasza sprawa. Pilnujcie swojej granicy i nie mieszajcie się do spraw, które do was nie należą. My przez niego mamy możliwość rozpracowania ukraińskich siatek bandyckich i ich likwidację.

W 1996 roku, będąc w Kosowie u znajomych, przeczytałem w jednej z gazet krótką notatkę autorstwa Fokszeja, w której opisywał swój szlak bojowy oraz swoją patriotyczną działalność w Polsce na rzecz mniejszości ukraińskiej przesiedlonej z Bieszczad na Mazury. Nie wytrzymałem i napisałem do tej gazety, jakim to on był patriotą. Ceną za to, że jego pozostawiono w spokoju, było wydanie w ręce UB swoich ziomeków, z których wielu postradało życie wskutek jego zdrady. Zakończyłem: Boże chroń takich patriotów, bo lepszy jest znany wróg niż pseudo-przyjaciel, zdrajca. Jaki był oddźwięk mego pisma? Niestety, nie wiem. W Polsce nie ujawniono przeszłości Fokszeja z uwagi na podjętą współpracę z władzami, czyli aparatem bezpieczeństwa. Nie chcieli krzywdzić żony, Polki i dzieci, które były wychowane na Polaków i nie znały prawdy o przeszłości ojca. Ujawnienie jego przeszłości przyniosłoby dotkliwszą karę dla żony i dzieci niż dla niego.

Pod koniec jesieni 1942 roku wyszło zarządzenie o obowiązku zdania nart o długości powyżej 170 cm. Kolega miał trzy pary nart. Dwie pary brata, który został zmobilizowany do wojska, i jedną parę swoich. Wszystkie, niestety, były długie. Zdał jedną parę najdłuższych, a dwie pary zatrzymał dla siebie. Korzystałem z tych nart, bo swoich nie miałem. Mieszkając na obrzeżach miasta, chodziliśmy na narty na pobliskie wzgórza bez obawy, że żandarm czy policjant ukraiński nas spotka. Pewnego dnia po dość obfitych nocnych opadach śniegu poszliśmy na te wzgórza pojeździć. Narty zapadały się w puszystym śniegu. Zjechaliśmy z góry na dół, i wracając, podchodziliśmy pod szczyt wzgórza. Nagle na przeciwnym stoku pojawili się na nartach dwaj żandarmi. Jednym z nich był Hucz, mówiący po polsku. Zapytali, gdzie można pojeździć.

- Nieco dalej stok jest dłuższy i bardziej stromy – odpowiedzieliśmy.

- No to prowadźcie.

Szliśmy, posuwając nogi w śniegu, by ukryć długość nart. Dotarliśmy na to większe zbocze i pokazujemy, że tu można zjeżdżać. Mieliśmy płonną nadzieję, że oni zjadą pierwsi, a my za nimi przeciwstokiem.

- Ty jedź pierwszy i zrób tor (ślady).

Zjeżdżam, a za mną jeden z żandarmów, Hucz. Drugi żandarm i ko-

lega zostali na górze. Wróciłem na górę z żandarmem, oni coś pogadali między sobą i zjeżdża teraz ten drugi, a Hucz stoi z nami na górze. Tak zjeżdżają na przemian. My stoimy. Nasze narty zakrywa śnieg. Zaczynają nam marznąć nogi, ale nie możemy się ruszyć, bo od razu ujawni się długość nart. W końcu Hucz spytał:

- Cemu nie zjeżdżacie?

- My już dość najeździliśmy się. Jesteśmy trochę zmęczeni i zamierzamy wracać do domu.

Hucz zaśmiał się i rzekł:

- Pewnie boicie się ruszyć, żeby nie ujawnić, iż wasze narty są długości podlegającej zdaniu.

Kolega zaczął tłumaczyć, że zdał najdłuższe narty, na co ma pokwitowanie, a te mają wprawdzie po 170 cm, ale zostawił je, żeby czasem pojeździć. I dodał:

- Niektórzy przycinali narty, ja tego nie zrobiłem, bo to psucie sprzętu. Po skróceniu zmienia się środek ciężkości i źle się jeździ na takich nartach.

Hucz nic na to nie powiedział. Gdy jego kolega wszedł na górę, gdzie staliśmy, obaj zjechali po zboczu, a my spokojnie wróciliśmy do domu.

Oprócz aresztowania i wywiezienia do obozu w Niemczech sędziego Ostrowskiego większych szykan ze strony Niemców Polacy nie doznali. Niemcy twierdzili, że wolą Polaków jak Ukraińców. Mówili:

- Wiemy, że Polacy są naszymi wrogami i czego się możemy po nich spodziewać. Polak, jak ma zamiar zastrzelić Niemca, robi to twarzą w twarz, a Ukrainiec nisko się ukloni i, minąwszy, strzeli w plecy.

Moja ciotka, Rozalia Wołoszczuk, siostra mamy, raz dostała od żandarma za to, że dała Żydowi bańkę mleka. Część pozostałych Żydów zgrupowana w getcie, które nie było ogrodzone i strzeżone, mogła, zdejmując opaskę z gwiazdą, wychodzić poza teren getta. Tak w dzień targowy przyszedł do ciotki były jej sąsiad, Żyd, prosząc, by sprzedała mu mleka. Ciotka powiedziała:

- Ja tobie mleka dam za darmo, ale nie mów od kogo dostałeś.

- Nigdy nikomu nie powiem, niech się pani nie boi.

Wziął mleko i poszedł. Ale żandarm zauważył go, zatrzymał i zajrzał do bańki:

- Skąd i od kogo masz to mleko?

Mógł przecież powiedzieć, że kupił od jakiejś kobiety na ulicy, ale on przyprowadził żandarma do domu ciotki. Próbowala przekonać żandarma, że ona nie dawała mleka nikomu. Na to Żyd:

- Jak to nie. Jeszcze pani mówiła, żebym nikomu nie mówił, że to mleko od pani.

Żandarm złapał bańkę, mleko wylał, ciotkę uderzył kilka razy, mówiąc:

- To za twoją głupotę. Może będziesz mądrzejsza.

W lipcu 1943 roku w południe nadleciał samolot, rozrzucając nad miastem ulotki. Pobiegłem w tym kierunku. Udało mi się jedną zabrać i schować za koszulę. Niemcy i policja ukraińska zatrzymywali wszystkie osoby, rewidowali i zabierali wszystkie ulotki. Sprawdzali kieszenie, torby, ale za koszulę nie zaglądali. Na ulotce była odezwa do ludności, że w okolicy przebywa dowódca partyzantów Kowpak i za jego pojmanie wyznacza się nagrodę. Poniżej podany był jego rysopis oraz informacja, w co jest uzbrojony. Okazało się, że samolot był rosyjski, a ulotka kpina z Niemców. Czyż ktokolwiek był w stanie zatrzymać uzbrojonego człowieka otoczonego swoim sztabem?

W całej okolicy, w domach oddalonych od głównej szosy, zaledwie niecałe sto metrów kwaterowali partyzanci. Mówili, że przyszli tu na odpoczynek. Równocześnie przyjechał batalion wojska niemieckiego. Żołnierze okopali się wokół miasta na okolicznych wzgórzach. Gniazdo karabinów maszynowych było usytuowane około 70 m od ulicy. Było letnie gorące popołudnie, a tu niespodziewanie z ulicy weszło na podwórze dwóch partyzantów z bronią z prośbą o coś do zjedzenia. Całkowicie nas zaskoczyli swoją obecnością i mocno wystraszyli. Przecież Niemcy ze wzgórza doskonale ich widzą i nawet do kogo przyszli.

- Jak wyście tu przyszli? Przecież na wzgórzu są Niemcy i mogą was złapać, zabić a przy okazji nas również?

A oni się śmieją.

- Nie „grusti mamasz” (nie martw się matko) germańcami. Oni cicho siedzą zadowoleni, że my dajemy im spokój.

Posiedzieli chwilę, zjedli i idąc ulicą, patrzyli na Niemców. Niemcy na nich. Partyzanci spokojnie, nie spiesząc się, poszli przez wieś. Taki stan utrzymywał się około tygodnia. Jak partyzanci poszli dalej w góry na zachód, wówczas i ten batalion Niemców opuścił Kosów.

W lipcu 1943 roku zamordowano w Pistyniu księdza Józefa Grze-

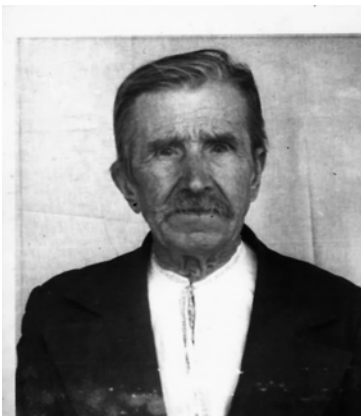
siowskiego. Początkiem sierpnia Niemcy opuścili Kosów. Zaczął się okres „bezkrolewia”.

Do tego czasu z najstarszą siostrą Emilią utrzymywana była stała korespondencja. Emilia była na przymusowych robotach u „bauera” Bettermana we wsi Libersdorf (obecnie Lubomin k/Wałbrzycha). Traktowana była dobrze. Od czasu do czasu rodzice wysyłali jej paczki z tytoniem oraz wódką. W tym gospodarstwie pracował również jeniec rosyjski. Siostra dawkowała mu tytoń oraz czasami po 100 gramów wódki, za co on pomagał jej w obrzędach przy krowach. Z chwilą wyjazdu Niemców korespondencja z siostrą urwała się, bo poczta i wszystkie urzędy przestały istnieć.

Coraz częściej dochodziły wiadomości, iż Niemcy „skracają front”, który zbliżał się do dawnych granic Polski. Pod koniec sierpnia przez Kosów przejeżdżał batalion wojsk niemieckich. Zatrzymał się na naszej ulicy, Rożnowskiej. Pewnego dnia pod nasz dom podjechał samochód osobowy (Opel Adam4), z którego wysiadło dwóch żołnierzy w stopniu frajter (starszy szeregowy). Weszli do domu od frontu i powiedzieli, że chcą coś zjeść i odpocząć. Trudno było odmówić dwóm uzbrojonym żołnierzom. Przynieśli swoje konserwy i siedli przy stole. W tym czasie na podwórzu z bocznej ulicy zajechał motocykl z przyczepą, w której siedziało dwóch oficerów. Oficerowie weszli do kuchni, kazali matce usunąć wszystko z trzonu kuchennego. Przynieśli z przyczepy wszystkie



2006 r., zbiorowa mogiła 76 osób zamordowanych przez bandy UPA, fot. Arch. Jana Sitnika



1974 r., Iwan Kowaluk, fot. Arch. Jana Sitnika

produkty, zażądali naczyń i zaczęli przygotowywać sobie obiad. Po ugotowaniu zażądali talerzy i sztućców. Mama przez omyłkę odsunęła szufladę, w której były sztucze srebrne z wyrytym monogramem. Niemiec je zauważył i wyjął. Zasiedli do posiłku. Jedząc, rozmawiali, sugerując, że to na pewno żydowskie. Mama, rozumiejąc, o czym mówią (chodziła do szkoły w zaborze austriackim), wpadła im w słowo, i wyjaśniła, że to nie są sztucze żydowskie tylko nasze, o czym świadczyć miał wyryty monogram, składający się z pierwszych

liter imion i nazwiska. Oni jakby się żachnęli tym, że są rozmiani, przestali rozmawiać, skończyli jeść, odłożyli sztucze i wyszli. Odjechali wraz z całym batalionem, po drodze porzucając pojazdy, którym zabrakło benzyny. Gdy oficerowie odjechali, wówczas jeden z frajtrów wszedł do kuchni, prosząc o chleb. Ojciec zdziwiony spytał, jak to jest, że nie mają chleba, a ci oficerowie mieli biały. Na to on, pokazując na naramiennik, dał do zrozumienia, że nie są oficerami. Mama dała im chleb, posilili

się, poprosili o wrzątek do zaparzenia herbaty. Nawiązała się rozmowa z ojcem oraz kolegą ojca, z którym służył w austriackim wojsku w czasie I wojny światowej.

W pewnym momencie jeden z nich spytał:

- Gdzie jest front?

Ojciec zdumiony:

- Ty jesteś żołnierzem i mnie cywila pytasz, gdzie jest front? To ja powinienem od ciebie dowiedzieć się, gdzie jest front.

- My już ponad miesiąc jeździmy po

tyłach i nie wiemy nic o sytuacji na froncie.

W pokoju na stole złożyli swoje plecaki, karabiny i pasy z pistoletami. Przynieśli kanister spirytusu, nalali do litrowej butelki i powiedzieli, żeby mama postarała się o 40 jajek za spirytus.

- Ciekawa jestem, co oni będą robić z tymi jajkami?- zaciekała się mama.

Sprawa okazała się banalnie prosta. Z tych jajek zrobili ajerkoniak i szystkich nas częstowali, również tych, którzy przyszli. Trzy razy w ciągu trzech dni robili ten ajerkoniak. Wieczorem mama przygotowała kolację także dla nich. Rozmowa trwała do północy. O północy elektrownia wyłączyła prąd, ponieważ generatory napędzane były silnikami Diesla, więc tym sposobem oszczędzano ropę dowożoną z Borysławia. Przed wyłączeniem trzykrotnie światło przygasało, a po 15 minutach gasło. Frajterzy zapytali, gdzie mogą przespać noc. Mama odpowiedziała:

- Jeden będzie spał w kuchni w sławnym bambetlu, a drugi w pokoju.

- Nie! Albo obaj w kuchni, a rodzina w pokoju, albo odwrotnie.

Na taki argument mama zrobiła posłanie na ławie w kuchni dla drugiego. Oni jednak spali na zmianę. Kiedy jeden spał, drugi czuwał. Odchyliłem zamek karabinu, ale naboju w nim nie było. Rano zjedliśmy wspólnie śniadanie. Frajterzy znowu zrobili ajerkoniak. Tak zeszło do obiadu i kolacji. Drugiej noc spali obaj. W karabinach były już naboje. Trzeciego dnia przed południem dwaj młodzieńcy, Ukraińcy, wracający z miasta, zobaczyli samochód, i myśląc, że jest porzucony, podeszli. Otworzyli drzwi i zaglądnęli, by coś zabrać. Jeden z Niemców wyszedł z ubikacji i zobaczył ich. Krzyknął, zaczął biec w stronę ulicy, wyjmując z tylnej kieszeni spodni pistolet. Ukraińcy, zobaczywszy Niemca, zaczęli uciekać! Niemiec strzelił dwa razy, ale raczej na postrach. Wszedł do mieszkania, coś po cichu pogadał z drugim Niemcem i zaczęli pakować się do odjazdu. Zrobili jeszcze ajerkoniak dla nas i dla siebie, zostawili litr spirytusu. Zjedliśmy wspólnie obiad. Oni podziękowali za gościnę, zebrali swoje rzeczy i wyszli. Mama na drogę upiekła im dwa „małaje”, rodzaj chleba, placka z kukurydzianego grysiku. Zawinęła w ściereczkę i dała im ze słowami:

- Chleba upieczonego nie mam, więc niech to zastąpi chleb.

Wzięli, serdecznie dziękując, pożegnali się i poszli do samochodu.



1974 r., Marika Kowaluk, fot. Arch. Jana Sitnika

Gdy już wsiedli, odwinęli ściereczkę, pooglądali, odkroili kawałek tego małaja, powąchali, potem jeden skosztował, pokiwał głową i dał drugiemu. Zjedli i odjechali. Byli to Austriacy. Czy udało im się przejechać? Nie wiadomo.

Wiadomo było natomiast, że ten batalion chciał przedostać się przez góry do Rusi Zakarpackiej, która była we władaniu Węgrów. Ale w górach banderowcy zablokowali drogę w wąwozie, zniszczyli cały batalion, zdobywając ich broń i amunicję.

W październiku zatrzymał się w Kosowie znaczny oddział z dywizji SS Hałczyzna (SS-Galizien). Po kilku dniach opuścili Kosów. Żadnych incydentów podczas ich pobytu nie było.

Zaczęło się ochładzać. Nadeszła zima. Święta Bożego Narodzenia oraz Nowy Rok i Trzech Króli minęły spokojnie.

Pod koniec marca 1944 roku przyszła do nas kuzynka, Helena Wołoszczuk, i powiedziała, że znajomy Ukrainiec przestrzegał, żeby tej nocy nie spać w domu, bo będą mordować Polaków. Ojciec nie dowierzał, ale wieczorem po kolacji powiedział:

- Wy (to znaczy ja i siostra), kładźcie się spać w ubraniu. My z mamą będziemy stróżować. Jakby się coś działo, to was zbudzimy i będziemy uciekać.

Noc jednak była spokojna. Następnego dnia, tj. 30 marca, znów przy-



1968 r., rodzina Kowaluków przed swoim domem, od lewej: Natalia – synowa, Mariana Kowaluk, Iwan Kowaluk i Nykoła – syn, fot. Arch. Jana Sitnika

szła kuzynka i powtórzyła to samo ostrzeżenie. Ojciec się zdenerwował.

- Całą noc nie spałem i znów mam nie spać kolejną noc? Kładę się spać, a wy jak chcecie.

Jak powiedział, tak też zrobił, więc i my z mamą, jak zawsze, położyliśmy się do snu. Rano mama przygotowała śniadanie i podała na stół. Na to wszedł kuzyn Władysław Sakowski.

- Gdzie byliście w nocy?

- Jak to gdzie? W domu, spaliśmy. Czy coś się stało?

- Nie, jedzcie śniadanie.

Jednakże ton głosu, wyraz twarzy i tak nietypowe pytanie od razu wzbudziły niepokój.

- Widzę, że nic nie wiecie.

- A co mamy wiedzieć? Mów więc, co się dzieje.

- Dokładnie nie wiem, ale wiem, że byli...

I tu zaczął wyliczać nazwiska. Między innymi dwóch braci mojej mamy oraz rodzinę Hardeków. Zapanowała cisza. Apetyt odleciał. Ojciec ubrał się i wyszedł, by naocznie sprawdzić, co się stało. Skierował się do domu państwa Hardeków, bo tam było najbliżej. Po drodze minął dymiące jeszcze zgliszcza dwóch domów. W jednym z nich mieszkał sędzia Hampel. Z oddali zobaczył kilka osób stojących przed domem Hardeków. Doszedłszy, ominął stojących, przez ganek wszedł do mieszkania i zobaczył. Pan Hardek siedział na krześle z rozpiętą głową, a ich kot, siedząc na jego ramieniu, zlizywał krew i strzępy mózgu. Żona, Elżbieta, oraz trzy córki: Anna, Elżbieta i Urszula leżały na podłodze porąbane siekierami. Jedna z córek, Elżbieta, dawała oznaki życia, więc zawieziono ją do szpitala, gdzie zmarła po kilku dniach, nie odzyskawszy przytomności. Ojciec już nie szedł dalej. Wystarczył mu ten makabryczny widok. Gdy wrócił do domu, nie musiał nic mówić. Jego twarz mówiła wszystko. Tej nocy zamordowano 76 osób, w tym dwóch braci mojej mamy, Wincentego i Jana Wołoszczuków. Z tej rzezi uratował się mój młodszy kolega, Zdzisław Finik. Pomimo czterech pchnięć bagnetem udało się go uratować. Taktyka oprawców była taka, że gdy zabili całą rodzinę, dom zostawiali, a jeżeli wiedzieli, że ktoś się uratował, dom podpalali, uprzednio obrabowując z cenniejszych rzeczy. Przez cały dzień, czym popadło, zwożono pomordowanych na cmentarz, gdzie wykopano zbiorową mogiłę. Ciała zwożono w naprędcie zbi-

tych skrzyniach albo w szafach ubraniowych. Najofiarniej działali m.in.: Polak, Władysław Huk, oraz Ukrainiec, pan Madziarski. Mogiła musiała być pogłębiona, bo skrzynie i szafy z ciałami układano w dwóch warstwach. Jednego z braci mamy, Wincentego, nie odnaleziono. Zgliszcza domu przekopano dwukrotnie, ale żadnych szczątków nie odnaleziono.

Spadło dużo śniegu i codziennie wiały wiatry, robiąc duże zaspasy, co sprzyjało ukrywającym się w polu, w stogach siana, a najczęściej w norach wykopanych w dużych zaspach. Wiejący wiatr zasypywał ślady na śniegu, co skutecznie maskowało przebytą drogę przez ukrywających się. Dopiero wiosną po znacznym stopieniu się śniegu odnaleziono ciało wujka Wincentego w sadach, w szkółce drzew owocowych, dokąd uciekał. Ucieczka była skazana na niepowodzenie, ponieważ miał jedną nogę krótszą z powodu otrzymanej rany na froncie w walce z bolszewikami w 1920 roku, za co otrzymał Virtuti Militari. Tam go Ukraińcy dopadli, związali, umieścili między dwoma deskami i piłą odcięli głowę, rozbijając ją na kilka kawałków. Widząc nieuchronną śmierć, prosił ich, że jeżeli musi umierać, to żeby się nie męczył. Na to jeden z siepaczy powiedział:

- My wiemy, że z was był dobry pan, to będziemy rznąć pomału.

O tym opowiadała żona Wasyla Hawrysza, który był obecny przy tej egzekucji.

Od dnia rzezi nikt z Polaków nie nocował w domu. My korzystaliśmy z pomocy przyjaznych Ukraińców. Szczególnie pomocni byli Iwan i Marika Kowalukowie, Petro Strynadiuk, Iryna Młynczak, i jej zięć Sorochan, Porczak i inni, których nazwisk nie pamiętam. Rodzinie moich kuzynek, Heleny Wołoszczuk i Józefy Tarnawskiej, pomocy udzielał pan Romaniuk oraz Antoni Szemelowski. Przeżył on osobistą tragedię. Miał dwóch synów, z których jeden poszedł do banderowców, a drugiego zamordowano za odmowę przystąpienia do nich.

Takich przyjaznych Ukraińców było wielu. O nich się nie mówiło, bo za pomoc Polakom groziła im śmierć. Dwa albo trzy dni po tragicznej nocy, gdy front był w okolicy Śniatyna (około 40 km na wschód od Kosowa), wjechały do miasta trzy radzieckie czołgi, a na nich fizylierzy z pepesami gotowymi do strzału. Gdy przejeżdżali przed naszym domem, witaliśmy ich ze łzami w oczach i pytaniem, dlaczego nie wcześniej. Zatrzymali się przed budynkiem dawnego sądu grodzkiego, który

zajęli na kwaterę. Do okolicznych domów, m.in. do mojej ciotki Marii Sakowskiej, siostry mojego ojca, która mieszkała naprzeciwko sądu, schodzili się na noc masowo Polacy mieszkający w odleglejszych rejonach miasta. Trwało to trzy dni. Trzeciego dnia fizylierzy powiadali na czołgi, które ruszyły w stronę Śniatyna. Wśród Polaków wybuchła panika. Około 50 osób wybiegło przed czołgi, blokując drogę. Dowódca wysunął się z wieży czołgu i powiedział:

- My musimy wracać, bo wzywają nas do powrotu. Jesteśmy 40 km za frontem, kończy się nam paliwo, amunicja i żywność. Prosimy, rozstapcie się i pozwólcie nam odjechać. Niedługo wrócimy wraz z frontem.

Nikt nie ustąpił. Czołgi wolniutko ruszyły, rozpychając zebranych. Ludzie krzyczeli:

- Jak odjedziecie, to nas wszystkich zabiją.

Pod naporem czołgów ludzie powoli ustąpili. Z domu wybiegła pani Sawicka z dzieckiem w beciku i położyła je niemal pod gąsienice czołgu. Kierowca gwałtownie zahamował, a dowódca zaczął na nią krzyczeć:

- Co ty robisz, przecież mogliśmy przejechać dziecko!

- Jak ma ginąć od siekiery albo przez roztrzaskanie głowy, to niech lepiej czołg je przejedzie.

Dowódca widząc, że ludzie są zdesperowani, po krótkiej naradzie ze swoimi ludźmi powiedział:

- My jechać musimy, bez względu na to czy ustąpicie, czy nie. Kto chce iść z nami, niech idzie do domu, zabierze, co uważa za stosowne i wróci. My będziemy czekać godzinę.

Ludzie z początku nie uwierzyli słowom dowódcy.

- My się rozjedziemy, a wy odjedziecie.

- Jej Bohu!- przysięgał dowódca - Będziemy godzinę czekać.

Słowa dotrzymał. Po godzinie zebrało się około 30 osób z węzłkami. Jeden czołg prowadził, za nim szła grupa pieszych. Trzeci czołg zamykał pochód. Pani Sawicka z dzieckiem wdrapała się na czołg, sadowiąc się między fizylierami.

- Kobieto, zamarznie z dzieckiem, zanim dojedziemy.

- Trudno się mówi, żołnierze osłonią mnie trochę od wiatru.

Po chwili z wnętrza czołgu wyszedł żołnierz, jeden z załogi, a na jego miejsce kazali wejść pani Sawickiej z dzieckiem. Po kilkunastu godzinach znaleźli się na terenie zajęтым przez wojska radzieckie. Front jako

taki nie istniał. Walki na odcinku południowym województwa stanisławowskiego ograniczały się do likwidowania bądź zmuszania do odwrotu odosobnionych grup niemieckich.

Święta Wielkanocne były smutne. Pamiętam, że ksiądz zaintonował nie „Wesoły nam dziś dzień nastał...”, ale drugą zwrotkę „Król Niebieski k'nam zawitał...”. Ludzie śpiewali, ale nie było chyba nikogo, kto by nie uronił łez. Z ludzkiego punktu widzenia dzień ten nie był wesoły, lecz obłany łzami za tymi, którzy zginęli w tak okrutny sposób.

Pewnej nocy, szczególnie mroźnej i bardzo wietrznej, wyszliśmy wraz z siostrą z domu i naradzaliśmy się, gdzie się udać. Daleko nie można było iść, ponieważ głęboki śnieg i zasy uniemożliwiały dalszą wędrówkę. Przy bocznej uliczce było ukraińskie zabudowanie gospodarskie. Do budynku stajni i stodoły przylegała przybudówka ze ścianami z desek przykryta skośnie ułożonym dachem. Wejście do niej było nie od podwórza, lecz od pola. Przez ogrody, klucząc między zaspami, dobrnęliśmy do tej przybudówki. Była ona wypełniona słomą po sam dach. Udało się nam wdrapać na słomę i pod dachem przesunąć się w głąb przybudówki. Tam zagrzebaliśmy się w słomę. Myśleliśmy, że będzie nam cieplej. Późno w nocy usłyszeliśmy na podwórzu jakieś kroki i włosy. Potem pukanie w okna domu. Jacyś ludzie z niego wyszli i po chwili udali się do stajni, potem do stodoły, na koniec do przybudówki. Otworzyli drzwiczki, czymś dźgali w słomę, ale te pchnięcia do nas nie dotarły. Ułożeni na pół leżąc baliśmy się poruszyć, by słoma nie szeleściła. Przez szpary między deskami każdy szelest był słyszalny. Nawet baliśmy się oddychać. Obcy zatrzymali się na podwórzu i słyszeliśmy, jak rozmawiali.

- Byli tu, ale chyba poszli w inne miejsce.

Nagle w stodole coś się poruszyło. Szybko weszli do stodoły, ale to był kot, który tam buszował za myszami. Baliśmy się ruszyć. Nie wiedzieliśmy, czy sobie poszli, czy stoją i nasłuchują. Siostra co jakiś czas pytała, czy mi zimno, bo ona bardzo zmarzła.

- Nie, nie zimno mi, tylko spać mi się chce.

- Nie śpij!

I ciągle szturchała mnie łokciem, żebym nie zasnął. Zagrzebani w słomie straciliśmy rachubę czasu, nie wiedzieliśmy, czy to już rano, czy jeszcze noc. Ale gdy ruch spowodowany obrządkiem ucichł, ostrożnie

ręką rozgarnąłem słomę i zobaczyłem przez szpary między deskami blask słońca. Powiedziałem do siostry:

- Już dzień, słońce świeci, idziemy do domu.

Siostra zsunęła się ze słomy:

- Schodź!

- Kiedy nie czuję nóg – odpowiedziałem.

Nie zważając na nic, siostra rozgarnęła słomę. Podałem jej rękę i próbowałem wstać, lecz stopy nie zginały mi się w kostce, natomiast w kolanach ledwo się uginały. Czułem się tak, jakbym był ściśnięty bandażem. Na sztywnych nogach przyszedłem do domu. Siostra przytrzymywała mnie, żebym się nie przewrócił. Mama oczekiwała nas cała we łzach. Nikt nie wiedział, gdzie spędziliśmy noc. Ostrożnie mnie rozebrano. Stopy były zamrożone. Do wanienki nalano zimnej wody z lodem. Wszedłem do tej wody. Nie czułem zimna. W okolicy kolan odczuwałem jakby pieczenie gorącej wody, dopiero na udach czułem zimno. Powoli nogi odtajały. Posiniały, poczerwieniały i póki nie wróciło krążenie krwi, bardzo bolały. Wieczorem trzeba było się ubierać i cierpiąc ból, wychodzić z domu.

Latem zaczęły powstawać rany gnilne, które gnębiły mnie przez prawie cztery lata. Dopiero w Polsce w Nysie wyleczył je dr Sewerski.

- Wiesz, dlaczego masz swoje nogi?

- Nie wiem, dlaczego?

- Dlatego, że nie było pomocy lekarzy.

W drugiej połowie kwietnia przyszła fala ciepła. Śnieg szybko stopniał, więc chowaliśmy się w zagłębienia wśród zarośli. Przekaz ustny niósł, że wojska radzieckie były już niedaleko. Z siostrą oraz kuzynką Heleną siedzieliśmy na strychu stajni w sianie u Kowaluków. Byliśmy tam przez trzy noce. Gospodyni Marika po kryjomu przynosiła nam jedzenie. Najbardziej stresujące chwile przeżywaliśmy my i gospodarze, gdy trzeba było się załatwić. Fizjologia jest bezlitosna. Wychodziło się na czworakach tak, żeby płoty nas osłaniały. Czwartego dnia w południe przyszła mama i powiedziała, że możemy wracać do domu. Miasto zajęły wojska węgierskie, więc jest bezpiecznie. Zebraliśmy swoje bety i szliśmy ścieżkami przez pola i ogrody, skracając drogę do domu. Tym samym omijaliśmy domy ukraińskie, żeby nie zdradzić, gdzie i u kogo przebywaliśmy. Ścieżka prowadziła obok niewykończonego domu,

w którym było złożone siano, kwaterował w nim pluton żołnierzy węgierskich. Na zewnątrz chodził wartownik. Zobaczywszy nas, idących z tobołami, podniósł alarm. Z domu wybiegli żołnierze z bronią, rozbiegli się w tyralierę, okrążając nas z daleka i wołając:

- Partizan, partizan!

Siostra i kuzynka wystraszyły się. Powiedziałem im:

- Nie ma czego się bać.

Poszliśmy prosto na nich, żeby nie pomyśleli, że chcemy uciekać. Kiedy byliśmy już blisko, zacząłem się śmiać, powtarzając:

- Partizan, partizan.

Jednemu, który mówił trochę po słowacku wyjaśniłem, że my Polacy.

- Aha! Lendźer, lendźer.

Rozmawiając, doszliśmy na szczyt wzniesienia, z którego widać było nasz dom i dom kuzynki. W tym czasie ulicą szła sąsiadka i widziała nas w otoczeniu Madziarów. Pobiegła do naszego domu i powiedziała, że złapali nas Madziarzy. Ojciec szybko poszedł na ich komendanturę z interwencją. Zdziwieni i zaskoczeni Węgrzy oświadczyli, że u nich nie ma nikogo z cywilów i żaden patrol nikogo nie przyprowadził. W międzyczasie, gdy zostało wyjaśnione, że nie jesteśmy partyzantami, spytali:

- Skoro mówicie, że niedaleko, to gdzie mieszkanie?

Wyjaśniliśmy, w którym domu mieszkam z siostrą, a w którym kuzynka.

- No to idźcie do domu, a na przyszłość nie chodźcie do banderowców.

Stali i patrzyli, gdzie my zajdziemy. Przed wejściem do domu odwróciliśmy się i pomachaliśmy rękami. Odpowiedzieli wymachem rąk. Weszliśmy do mieszkania, a mama zdumiona spytała:

- Skąd wy? Tato poszedł na komendę węgierską, bo sąsiadka powiedziała, że was Węgrzy złapali.

Wyjaśniliśmy przebieg całego zdarzenia. Za chwilę wszyscy Węgrzy z tej placówki weszli do mieszkania, śmiejąc się i pokazując na nas:

- Partizany, partizany.

Wszedł ojciec i zdumiony stanął w drzwiach, widząc nas i kilkunastu Węgrów. Znowu wyjaśniliśmy przebieg zdarzenia. Trudno było się rozmówić. Trochę pomagał ów żołnierz mówiący po słowacku, trochę po niemiecku, a najwięcej przydatna była gestykulacja. Mieliśmy roczniki tygodników ilustrowanych „Na szerokim świecie”. W jednym z nich był admirał Horthy i inne zdjęcia związane z rządem węgierskim. Byli

tym zachwyceni. Przez czas ich pobytu Węgrzy przychodzili prawie codziennie, szczególnie po mleko. Mieliśmy krowę, która była półtora miesiąca po ocieceniu i dawała dużo dobrego mleka. Zbytu na mleko nie było i chociaż chcieli płacić, to mama dawała im je bezpłatnie. Węgrzy byli bardzo przyjaźni wobec Polaków. Ukraińców natomiast traktowali niemal tak jak Niemcy Żydów. Trzy dni przed końcem kwietnia można było zauważyć pewną nerwowość w zachowaniu Węgrów. Na głównym skrzyżowaniu ulic Rożnowskiej, Piłsudskiego i Pistyńskiej zbudowali zapory z belek w kształcie skrzyń wypełnionych głazami. Pomiędzy tymi zaporami można było przejechać slalomem w bardzo wolnym tempie. Wokół miasta od strony wschodniej i północnej pełno było wojska rosyjskiego. Mieszkańcy z okolicy tego skrzyżowania przygotowani byli do opuszczenia domów, gdyby wywiązała się walka.

Jednak w nocy z 29 na 30 kwietnia Węgrzy opuścili miasto i wycofali się nieopodal, na wznoszące się szczyty Karpat. Tę noc spędziliśmy w sianie na strychu naszej stajni. Około północy usłyszeliśmy turkot wozów, rozmowy i nawoływania w języku rosyjskim. Słychać było otwieranie się bramy. Na podwórzu weszli Rosjanie. Zaczęli stukać w drzwi i okna domu. Ojciec stwierdził:

- Muszę wyjść, bo gotowi się włamać do domu.

Wyszedł ze stajni. Zatrzymał go okrzyk:

- Stój, ruki w wierzch!

Podniósł ręce do góry i powiedział:

- Nie strzelaj, ja gospodarz tego domu.

Podszedł jakiś oficer i spytał ojca:

- Skoro jesteś gospodarzem tego domu, to czemu nie jesteś w mieszkaniu, ale wychodzisz ze stajni?

- Bo jestem Polakiem i chowam się przed banderowcami.

- A gdzie twoja rodzina?

- Są na strychu, żona i dwoje dzieci.

- To niech schodzą, ale pojedynczo i powoli.

Zaczęliśmy schodzić. Na dole stało dwóch żołnierzy z automatami i po wyprowadzeniu pierwszej osoby nakazali zejść następnej. Gdy już wszyscy staliśmy na podwórzu otoczeni przez żołnierzy, komandir powiedział:

- Jak ty gospodarz, to otwieraj dom.

- Mam klucz w kieszeni i muszę go wyjąć sięgając tam ręką.
- Wyjmij, ale pomału i tak, żebyśmy widzieli, że to klucz.
Ojciec wyjął klucz i otworzył drzwi. Puszczając nas przodem, Rosjanie weszli do domu. Rozejrzeli się po całym budynku i poznali:
- My zajmujemy jeden pokój (komnatę) i tu będzie się mieścić sztab pułku.
Ojciec się zaśmiał:
- Charaszo, to teraz będziemy bezpieczni, bo przez całą dobę wartę pełni dwóch żołnierzy.

1 maja, przez cały dzień, instalowali się, przeciągając telefony. Następnego dnia, 2 maja, zrobili „prazdnik”, czyli świętowali 1 maja. Przynieśli konserwy „swynnaju tuszonku” i wódkę. Mamę poprosili o sól, cebulę, wodę i szklanki. Tak w sześć osób, pięciu wojskowych i ojciec, wypili 2 litry wódki. Po opróżnieniu szklanki wódkę wypijali kilka łyków wody, zagryzali cebulą maczaną w soli i jedli konserwę z chlebem. Sztab był w jednym pokoju, ale oni byli praktycznie w całym domu. Pisarz sztabowy starszy sierżant (starszyna), Sasza Szugajew, urzędował w naszym pokoju. Był bardzo grzecznym człowiekiem. Miał do nas na tyle zaufania, że przekazywał nam wszelkie informacje związane z frontem oraz życiem, jakie mieli do wybuchu wojny. Poinformował, że za to, co nam przekazuje, grozi mu rozstrzelanie, gdyby się wydało. Oczywiście, zachowywaliśmy pełną dyskrecję. W naszym pokoju ustawili patefon. Mieli kilka płyt, sztyfty ostrzyli na ośelce i grali bez przerwy przez całą dobę. Ponieważ front był tuż za miastem, przez całe dni trwał ostrzał armatni prowadzony przez Węgrów, którzy, zajmując pozycje na górach, mieli całe miasto i okolice jak na dłoni. Wybuchy pocisków, serie broni maszynowej i ta muzyka z patefonu po kilku dniach były czymś normalnym i nie przeszkadzały nawet w spaniu. Po kilkunastu dniach sztab wyprowadził się w okolice Pistynia, ale front trwał. Rosjanie nie angażowali się w zdobywanie Karpat. Gdy wojska radzieckie od południa przez Rumunię zbliżały się do Węgier, a północną stroną walczyły w zachodniej części województwa lwowskiego (obecnie rzeszowskie), Węgrzy wycofali się, by nie dać się okrążyć i odciąć od swego kraju.

Milicja i NKWD znalazły siedzibę w budynku byłego sądu. Po kilku dniach ogłosili, że wszyscy mężczyźni od 20 do 50 roku życia mają się zgłosić na „Wojen-Komacie” (nasz WKR). Zgłaszając się, mogli

wybrać wcielenie do wojska albo służbę w „Istriebitielnom Batalionie” na miejscu. Była to formacja cywilna (coś jak ORMO) do zwalczania band UPA. Moi kuzyni, Franciszek Wołoszczuk oraz Władysław Sakowski, wybrali tę drugą możliwość. Po kilku dniach te instytucje przeniosły się z Kosowa do wsi Rożnów, która leżała poza zasięgiem artylerii węgierskiej. Ja i moi dwaj koledzy, Zbyszek Wasylewicz i Zdzicho Kurdziel, też zgłosiliśmy się na ochotnika, skuszeni tym, że otrzymamy broń i będziemy w jakimś sensie ubezpieczać rodziny. Oba kolegów przyjęli, a mnie odrzucili, ponieważ byłem bardzo szczupły, wręcz chudy, przez co wyglądałem na młodszego niż oni. Koledzy byli dobrze zbudowani, wyglądali na starszych. Przez około 2 tygodnie pełnili służbę wartowniczą i patrolową w mieście. Mnie zaproponowano rolę zwiadowcy, ponieważ bardzo dobrze rozmawiałem po ukraińsku, znałem „Ojcie Nasz” i „Zdrowaś Maryjo” oraz pieśni cerkiewne i patriotyczne, w treści antypolskie i antysowieckie. Plusem było to, że na wioskach nie byłem znany i mogłem uchodzić za Ukraińca. Wprawdzie istniało ryzyko, że ktoś mnie rozpozna, ale szczęście dopisywało, a dowodem jest to, że żyję.

O tym fakcie nikt w mojej rodzinie nie wiedział i nigdy się nie dowiedział. Udało się ustalić, że kolega z klasy, Władysław Hatman, który wraz ze swoim ojcem przystąpił do bandy UPA, czasami nocą przychodził z ojcem do domu. Tam udało się ich zaskoczyć i rozbroić. W odkrytym terenie nie mieli szans. Po wyprowadzeniu z mieszkania zaczęli uciekać. Pomimo wezwań do zatrzymania kontynuowali ucieczkę, więc zostali zastrzeleni. Zdażyli przebiec około 100 m.

Przed wyjściem władz do Rożnowa zaczęto spisywać dane osobowe. Widząc rok urodzenia 1929, zwolniono moich kolegów ze służby ze względu na młody wiek.

Miasto było pod stałym ostrzałem artyleryjskim, który trwał od 8.00 do 13.00 i od 14.00 do 18.00. Pociski często spadały na domy, uszkadzając je w mniejszym lub większym stopniu. Gdy strzelano pociskami zapalającymi, to ostrzał trwał do pierwszego pożaru. Trafiony obiekt płonął do końca, ponieważ nie było komu gasić pożarów. Wiele domów spłonęło. Między innymi wszystkie pensjonaty, które były usytuowane w bezpośrednim zasięgu nie tylko dział, ale też broni maszynowej. Spłonął też dom siostry mojej mamy, matki Franciszka, który kwaterował w Rożno-

wie. Ciotka zamieszkała u nas. Spłonęła wówczas cerkiew na Starym Kosowie. Pod koniec maja zarządzono ewakuację ludności cywilnej. Strefa szerokości do 8 km od frontu musiała być wolna. Jednak nie wszyscy się ewakuowali. My, siostry mamy, Rozalia Wołoszczuk, Maria Hawrycz z synem Janem (1927 rocznik) oraz bratowa mamy, Maria Wołoszczuk z córką Lesławą wyjechaliśmy do Zabłotowa odległego od Kosowa o 27 km. Tam ewakuowanych upychano po domach, nie pytając właścicieli o zgodę. Skutek był taki, że na powierzchni około 40 m (pokój, kuchnia i weranda) mieszkało nas 12 osób. Spaliśmy pokotem na podłodze. Najgorzej było z gotowaniem posiłków, bo do dyspozycji był mały trzon kuchenny opalany drewnem. Pomimo to nie było kłótni między „gośćmi” i gospodarzami. Wszyscy znosili te niedogodności ze spokojem i rozumieniem. Zabłotów położony jest za rzeką Prut. Bydło wyganiało się codziennie za rzekę, wzdłuż której kilometrami ciągnęły się łąki, krzaki, łązy. Między krzakami była niewielka trawa. Rzekę trzeba było przechodzić tam, gdzie był bród, czyli względna płyčina, ponieważ warta pilnująca mostu nie przepuszczała cywilów. Ta sama warta nie reagowała na przechodzących brodem przez rzekę. Z powrotem można już było wracać przez most. Korzystaliśmy z mostu tylko wówczas, gdy w górach spadał obfity deszcz i woda wzbierała tak, że o żadnym przejściu brodem nie mogło być mowy. Po przybyciu do Zabłotowa w pierwszą niedzielę rano ojciec wyprowadził krowę, żeby popasła się, zanim ja wstanę i pójde za rzekę. Jedliśmy śniadanie, gdy wpadł zdyszany chłopak od sąsiadów i od progu wołał:

- Niech ktoś idzie zabrać krowę, bo żołnierze zabrali pana.

Pomimo że do domu było około 60-70 m, nie pozwolili odprowadzić krowy ani zawiadomić nikogo. Wybiegłem, przeprowadziłem krowę, a siostra pobiegła w kierunku, gdzie poprowadzili ojca. Dopędziła żołnierzy przy bramie wejściowej na posesję, na której było mnóstwo mężczyzn. Ojciec powiedział do siostry:

- Idź do domu, ja niedługo przyjdę.

Ojciec miał przy sobie dokument wydany w roku 1940, że jest niezdolny do służby wojskowej i liczył, że gdy go pokaże, zostanie zwolniony. Ale oficer dokument ten przeczytał, zmiął i wyrzucił do kosza.

- Niczewo, pjdiosz w armiju.

Po kilku godzinach, gdy ojciec nie wracał, mama przygotowała mu

prowiant na drogę. Musiałem z siostrą zanieść go ojcu. Po drodze martwiliśmy się, jak odnajdziemy go w takiej ciżbie ludzkiej. Ojciec jednak domyślił się, że przyjdziemy i wypatrywał nas przez płot. Kiedy nas zobaczył, zawołał i opowiedział, jak się sprawa przedstawia. Daliśmy zawiniątko z prowiantem, pożegnaliśmy się i wróciliśmy. Polaków zawieźli w okolice Żytomierza, gdzie formowała się II Armia gen. Świerczewskiego. Tam komisja lekarska zwolniła ojca. Od tego czasu stał się cywilem zdanym na siebie. Nikogo nie obchodziło, co się z człowiekiem stanie. Dwa tygodnie trwała powrotna droga ojca do domu. Wrócił w łachmanach, bo wszystko co miał na sobie, zamieniał na jedzenie.

Zostaliśmy w Zabłotowie. Z kuzynem Janem Hawryszem oraz kuzynką Lesławą Wołoszczuk pasłem bydło w łąkach. Mama chodziła do gospodarzy pomagać w polu, a zapłatą była żywność. Na początku czerwca około godz. 11.00 banderowcy napadli na wieś Trójca – około 6 km od Zabłotowa. Wieś, położona na wzgórzach, widoczna była z miasta. Pierwsze pożary i krzyki wszczęły alarm. NKWD dawało broń wszystkim, kto się zgłosił z chęcią niesienia pomocy. Zanim jednak pomoc dobiegła, bandyci zdołali wymordować ludzi i spalić zabudowania ponad połowy wioski. Po dwóch tygodniach wartownik, Ukrainiec z milicji, zdradził. Nocą wpuścił bandytów do budynku, gdzie mieszkało NKWD i zabili wszystkich śpiących. Rano chłopaków zastanowił fakt, że nie ma wartownika, a w budynku było cicho. Gdy weszli, znaleźli wszystkich nieżywych. Zaalarmowali NKWD w Kołomyi. Przyjechał samochód z plutonem wojska i dwoma oficerami z NKWD, którzy zabronili mówić o tym, co się stało, żeby nie wywołać paniki. Nocą zabrali pomordowanych. Na ich miejsce przyszła nowa obsada. Nikt w mieście nie wiedział o zaistniałej tragedii.

Na początku lipca, gdy skończyły się zabrane zapasy mąki i smalcu, zostaliśmy praktycznie bez środków do życia. Ponieważ w takiej krytycznej sytuacji oprócz nas było więcej osób, po radzie postanowiono wracać do domu, do Kosowa. Tam wprawdzie przy braku szczęścia można było zginąć od pocisku, ale tu czekała powolna śmierć głodowa. W domu będą już młode ziemniaki. Na żarnach zmiele się trochę ziarna, a tu nic. Ponieważ nie sposób było zabrać ze sobą krowy, mama oddała ją za darmo. Pierwszej niedzieli na początku lipca wyruszyliśmy w kolumnie 16 osób przez Prut około 100 m poniżej mostu. Wartowni-

cy z mostu nawoływali do powrotu, ale nie opuścili go, by nas zatrzymać. Po przejściu rzeki weszliśmy w łągi, w których byliśmy bezpieczni. W pierwszej wiosce Ilince ludzie pytali:

- A gdzie wy idziecie?
- Do Kosowa.
- Oj, nie idźcie drogą, bo przy końcu wsi stoi posterunek i was zawróci.
- A jak można ich ominąć?
- Idźcie ścieżką, na pagórki, wtedy ominiecie posterunek.

Poszliśmy. Ścieżka wiodła przez zarośla stromymi zboczami. Gdy było widać następną wieś Trościaniec, zeszlśmy pierwszą napotkaną ścieżką do wsi. Na szczęście nie uszliśmy daleko. Spotkaliśmy chłopca idącego w naszym kierunku.

- A wy dokąd idziecie?
- Do Kosowa.
- Oj, nie idźcie do wsi, bo tam stoi posterunek i was zawróci. Wracajcie z powrotem i górami przejdziecie aż do Rożnowa.

Znów przez zarośla stromymi ścieżkami włączemy się zmęczeni, głodni i spragnieni. Do Rożnowa też nie zeszlśmy, ostrzeżeni przez spotkanych ludzi. Dalej szliśmy górami. W pewnym momencie mama powiedziała:

- Już wiem, gdzie jesteście. Tą dróżką schodzimy do drogi bocznej, równoległej do głównej szosy. Ona prowadzi do Caryny (7 km od Kosowa) i tam zatrzymamy się na nocleg u Kaszyńskich albo u Wołoszczuków.

Szliśmy gęsiego siłą woli. Kiedy wychodziliśmy z Zabłotowa była godz. 9.00. Teraz jest już 18.00. Obchodząc posterunki, zamiast 27 km przeszliśmy górkami około 40 km. Z kuzynem Hawryszem szedłem przodem. W końcu doszliśmy do skrzyżowania naszej dróżki z drogą prowadzącą na Carynę. Na rogu stał dość duży dom ogrodzony wysokim płotem z wikliny. Wyszedłem zza płotu i szybko cofnąłem się.

- Co jest? – pyta kuzyn.
- Na drodze stoi posterunek.

Wszyscy byli załamani, że będąc tak blisko Kosowa, możemy zostać zawróceni do Zabłotowa. Wartownik jednak nie był w mundurze, ale ubrany po cywilnemu. Przez szpary w płocie zauważyłem znajomego Ukraińca. Okazało się, że w tym domu mieściła się milicja z Kosowa i Streb-Batalion. Pomyślałem, że powinni tu też być kuzyni, Franek

i Władzio. Podeszedłem do wartowników i spytałem:

- Jest Franek?
- Jest – odpowiedział jeden z nich.
- To zwołaj go – poprosiłem.

Wyszedł kuzyn i zdumiony spytał:

- Co ty tu robisz?

Zacząłem wyjaśniać zaistniałą sytuację.

- To ile was jest?
- Zobacz, stoją za płotem. Da się przejść, czy będziemy musieli wracać?
- Czekać, idę pogadać z naczelnikiem.

Po chwili wrócił i oznajmił:

- Możecie przejść, ale nie wszyscy naraz. Przechodźcie w odstępach po 2 lub 3 osoby.

Tak doszliśmy przy zapadającym już zmroku do Caryny. Przenocowaliśmy w stodole na sianie i raniutko, zanim zaczął się ostrzał, poszliśmy do domu.

Trzeciego dnia od powrotu przyjechał na koniu lejtnant Bajtinow (Czeceniec), który wraz ze sztabem kwaterował u nas. Ucieszył się z naszego powrotu.

- Szkoda, żeście się ewakuowali. Chcieliśmy was uprzedzić, że możecie mieszkać tu, jak nie boicie się wybuchów pocisków, ale was już nie było. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteście, więc nie mogliśmy was zawiadomić, że możecie wracać do domu.

Podczas gdy sztab pułku kwaterował jeszcze u nas, ów Bajtinow, przechodząc przez pokój, zobaczył karty do gry. Zaśmiał się i powiedział do siostry:

- Powrócę ci.

Karty potasował, rozłożył w wachlarz, podrzucił do góry tak, że rozsypane spadły obrazkami do góry i zaczął mówić:

- Masz siostrę, która jest daleko. Nie wiesz, co się z nią dzieje. Ona przejdzie długą drogę. Przeżyje trudne chwile (wyliczył, co ją spotka), ale nie martw się. Dobrzy ludzie jej pomogą w drodze powrotnej. Dłużej będzie u obcych ludzi, ale wróci do domu, jak wojna się skończy.

Wszystko się sprawdziło, gdy po powrocie siostra opowiadała o swoich przejściach. Kilka dni po tej wróżbie siostra poprosiła Bajtinowa, żeby powrócił jej jeszcze raz. Zamyślił się na chwilę i powiedział:

- Nie mogę, muszę mieć natchnienie. Może innym razem. Bardzo proszę nikomu nie wspominać, że ja wróżę.

Krótko po tym sztab się wyprowadził i nie było okazji do wróżenia. Następnego dnia pojawił się sierżant Sasza Szugajew. Po rozmowie oświadczył:

- Jestem komendantem do spraw ewakuacji. Jeżeli nie boicie się pocisków, to możecie spokojnie mieszkać. Do ewakuacji są uprawnieni dwaj żołnierze i cywil. Nikt inny nie ma prawa was niepokoić. Ja nie mogę powiedzieć moim ludziom, żeby omijali wasz dom, ale jak zauważycie, że tacy idą, wystarczy zamknąć drzwi i nie odzywać się. Oni postukają i pójdą sobie.

Pewnego dnia mama zamiesiła w dzieży ciasto na chleb. Napaliła w piecu chlebowym, aż tu wszedł lejttenant, który mieszkał u sąsiadów i nakazał, byśmy w ciągu 5 minut opuścili dom. Jeżeli go nie opuścimy, to nam okna powybijają. Mama spokojnie mówi:

- Upiekę chleb i wtedy opuścimy dom.

On nie przyjął tego do wiadomości i grożąc, wyszedł z mieszkania. Za chwilę przyjechał Szugajew. Mama poskarżyła się, że lejttenant chciał nas wyrzucić z domu.

- Jestem ciekaw, kto on taki? – spytał lejttenant.

- On mieszka w trzecim domu u sąsiadki.

- No to idziemy. Prowadź! – powiedział do mnie.

Z ulicy pokazałem siedzącego przed domem owego lejttenant. Szugajew przywołał go do furtki i spytał:

- Jakim prawem ty chodzisz, niepokoisz ludzi i grozisz im?

- A jakim prawem ty, sierżant, pytasz mnie lejttenant?

Na to Szugajew pokazał mu dokument. Sierżant przeczytał pismo, zbłądł i zaniemówił. Szugajew „obrugął” go tak, że pot z niego spływał. Odwrócił się do mnie.

- Idziemy do domu. On już nie będzie nikogo niepokoił. Gdybym napisał raport na niego, to by go rozstrzelano. Nie chcę mieć go na sumieniu. Wojna trwa, niech zginie na froncie, a jak przeżyje, to jego szczęście.

Gdy Węgrzy wycofali się z gór, wróciły władze i zaczęły funkcjonować urzędy, poczta, banki itp. Moja siostra Maria podjęła pracę w banku, a ja z mamą zajmowaliśmy się gospodarstwem. Sytuacja była bardzo trudna, ponieważ władza była tylko w miastach, tj. w Kutach - 9 km, w Koło-

my - 35 km, w Zabłotowie - 27 km, w Śniatyniu - 40 km, a pomiędzy tymi miastami była „Samostijna Ukraina”. Był taki okres, że przez kilka miesięcy Kosów był odcięty od świata, gdyż droga do Kołomyi na odcinku do Jabłonowa biegła przez zalesione góryste tereny łatwe do robienia zasadzek. Do wszystkich miast drogi były zaminowane, słupy telefoniczne wycięte, a linie pozrywane. Łączność utrzymywano za pomocą polowych radiostacji. Dowóz amunicji strzeleckiej, granatów ręcznych i poczty odbywał się „Kukuruźnikami”. O przedostaniu się pieszo do któregoś z tych miast nie było mowy. Zdarzało się, że ktoś nie wytrzymał nerwowo i ryzykował, ale nikomu nie udawało się przejść. Zawsze po kilku dniach dowiadywano się, że ryzykant nie żyje.

Dopiero po zakończeniu wojny, jesienią skierowano wojsko, które oczyszczało teren. Przyparci „do muru” część przez Czechosłowację przebiła się do Austrii pod władzą aliantów, a część przeszła do Polski w Bieszczady, siejąc śmierć i zniszczenie. Dopiero akcja „Wisła”, pozbawiwszy zaopatrzenia i poparcia Łemków, przyniosła upragniony, względny spokój. Co kilkanaście dni, jeszcze zanim przyszło wojsko, milicja oraz Streb-Batalion chodzili na operacje w góry. Niszczili odnalezione magazyny. Czasami udawało im się pojmać kilku bandytów. Ale tylko przez zaskoczenie. Spotkani w potyczce nie poddawali się. Ginęli do ostatniego wiedząc, że oprócz śmierci nic ich nie czeka. Zaskoczyć ich było trudno. Gdy ktoś z Hucułów zauważył idących, trombitą dawał sygnał, więc było wiadomo, że zaskoczenie poniosło fiasko i należy spodziewać się zasadzki. W potyczkach zginęły 62 osoby z NKWD, milicji i Streb-Batalionu. Zostali pochowani na starym, nieczynnym cmentarzu przykościelnym. Na grobach umieszczono płyty z wrytymi imionami i nazwiskami, przynależnością do formacji, stopniami wojskowymi oraz wiekiem i datą śmierci. Zginął wtedy komendant Wojen Komatu, oraz naczelnik NKWD. To był naprawdę bardzo dobry i uczciwy człowiek (chyba wyjątek między nimi).

Mieszkaliśmy jakieś 800 m od budynku dawnego sądu, w którym mieściło się NKWD, milicja i Streb-Batalion. Nocą przechodziły patrole do 200 m za naszym domem, skąd zawracały, a po chwili w stronę miasta szedł patrol banderowski. Na noc w okna wkładało się zasłony z desek jako zabezpieczenie przed wrzuceniem granatu do mieszkania. W takim przypadku granat odbijał się od desek i wybuchał przed do-

mem. Broni strzeleckiej nie mieliśmy, ponieważ jej posiadanie przez ludność cywilną było zabronione. Zgodzili się tylko na granaty ręczne, obronne, tzw. siekańce. Mieliśmy ich całą skrzynkę - 50 sztuk. Mówili: - Jeżeli przyjdą do was, to brońcie się granatami, a my przyjdziemy z pomocą.

Na szczęście nie doszło do takiej skrajności. Około 150 m od nas była okazała willa wybudowana w 1938 roku przez ukraińskiego nauczyciela Samborskiego. W 1940 roku bolszewicy usunęli go z domu i wywieźli na Sybir jako „Pomieszczyka”. W latach 1944-45 urządzono tam szpital zakaźny, gdyż panował wtedy tyfus plamisty. Leżało tam kilkunastu wojskowych oraz cywile. Banderowcy zaatakowali, chcąc zlikwidować chorych. Wokół naszego domu ustawili ckm, z którego ostrzeliwali ten szpital. Mama z siostrą weszły na strych, a ja z ojcem staliśmy z granatami, przygotowani na obronę naszego domu. Wartownik oraz pomoc, jaka nadeszła, nie dopuścili banderowców do szpitala. Po dwóch, może trzech godzinach strzelaniny bandyci odeszli. Rano ojciec zebrał dwa wiadra łusek z naboju.

Gdy w 1945 roku ogłoszono, że Polacy, którzy chcą wyjechać do Polski, mogą rejestrować się w Polskim Urzędzie Repatriacyjnym, zwanym PUR, ojciec bez wahania zarejestrował nas, 4 osoby. Otrzymaliśmy kartę ewakuacyjną oraz spis zostawianego majątku. Jesienią siostra, która pracowała w banku, niespodziewanie odebrała telefon z Kołomyi, skąd dzwoniła siostra Emilia powracająca z Niemiec. Niebywała radość! Następnego dnia mama udała się do Kołomyi przez Zabłotów, ponieważ ten kierunek był bezpieczniejszy do przejścia. Miała do przebycia bardzo długi spacer, 27 km do Zabłotowa i 40 do Kołomyi. Tam po spotkaniu z Emilią następnego dnia obie tą samą drogą przyszły do domu. Opowieściom nie było końca. Jakże wielkie było zdziwienie Emilii, gdy chcąc opowiedzieć swoje koleje losu, usłyszała je od swojej młodszej siostry, podającej fakty z wyprzedzeniem.

- Skąd ty to wiesz? – spytała zdziwiona Emilia.

- Był u nas taki lejtnant Bajtinow, który mi wróżył i o tym powiedział.

Siostra była bardzo zdziwiona, ale to był niezaprzeczalny fakt. Następnego dnia po powrocie Emilia poszła zameldować się w „Paszportnyj Stoł” – coś w rodzaju Urzędu Stanu Cywilnego. Weszła do biura, i z niedowierzaniem zobaczyła, że za biurkiem siedzi ten, który ją prze-

słuchiwał w 1939 roku. On też ją poznał. Wpisał ją do księgi i zabrał od niej książkę pracy z Niemiec tzw. „Arbeit-busch”. Teraz zachodziła konieczność dopisania jej do karty ewakuacyjnej. W PUR-ze powiedzieli, że potrzebne jest zaświadczenie z Paszportnoho Stoła, mówiące o tym, że ona jest meldowana w tej rodzinie. Gdy siostra poszła po to zaświadczenie, powiedziano jej, że go nie otrzyma, ponieważ wróciła z Niemiec nie po to, żeby wyjeżdżać.

- Jak to? Rodzice wyjadą, a ja mam zostać?

- Tak. U nas wszystkie narodowości żyją, a żyć będziesz tam, gdzie nam będziesz potrzebna.

Ogarnął nas blady strach. Co robić? Zaczęły się poszukiwania jakichś możliwości, nie wyłączając łapówki dla kierownika PUR-u. Ale łapówka przekraczała nasze możliwości. Szukaliśmy innych sposobów. Czasami jednak zdarzają się cuda. Pani z Kołomyi, która po śmierci męża została z pięciorgiem dzieci, była zarejestrowana na wyjazd. Starsi państwo, bezdzietni, którzy posiadali trzy młyny, zaproponowali, że adoptują jej najstarszą 12-letnią córkę. Z konieczności, bo z biedy, zgodziła się, więc oni zarejestrowali siebie i tę córkę na swojej karcie ewakuacyjnej. Figurowała więc dziewczyna na dwóch kartach. W ten sposób znalazło się jedno miejsce do wykorzystania. Po uzyskaniu tych informacji, w lutym 1946 roku udaliśmy się z siostrą do Kołomyi, by omówić całą procedurę pozwalającą wykorzystać tę sytuację. Droga do Pistynia wiodła terenem górzystym, więc wzięliśmy ze sobą sanki, żeby zjeżdżać z góry. Zawsze to była ulga dla nóg i stanowiło szybsze pokonanie nieraz sporego odcinka. Ponieważ siostra nie posiadała żadnego dokumentu tożsamości, więc trzeba było omijać Pistyń, Jabłonów i Utoropy, gdzie były posterunki milicji, które legitymowały przechodniów i mogły nas zatrzymać. Skierowaliśmy się na wieś Kowalówka. Była to droga krótsza, chociaż bardziej niebezpieczna. W połowie wsi przed jednym z domów stała siedmioosobowa grupa ludzi. Zobaczyli nas. Wszyscy odwrócili się i patrzyli, rozmawiając. Siostra przerażona powiedziała:

- Zaraz nas zatrzymają i żywych nas nie puszcza.

Zobaczyłem, że na podwórzu jest studnia, więc mówię:

- Jakby doszli do ciebie i pytali, nic nie mów. Udawaj niemowę, a ja idę do nich, żeby napić się wody.

Podszedłem. Pozdrowiłem ich, jak było w zwyczaju.

- Sława Isusu Chrystu.
 - Na wiki, Sława Bohu.
 - Można napić się wody, bo idziemy z Kosowa i pić się chce?
 - Czemu nie, wody nikomu nie odmawiamy.

Gospodyni przyniosła garnuszek, wyciągnąłem wiadro wody, nabrałem do garnuszka i piję.

- Czy mogę zanieść trochę wody siostrze?

- A czemu ona nie przyjdzie tu?

- Ona parę dni temu wróciła z Niemiec, gdzie podczas bombardowania była przysypana gruzem. Nasi ludzie ją odkopali ledwie żywą, bo Niemcy nie zamierzali ratować. Ratowali tylko swoich. Udało jej się przeżyć, ale od tego czasu nie mówi i boi się ludzi. Idziemy do Kołomyi szukać pomocy lekarskiej, bo w Kosowie lekarze są bezradni. Coś jednak podejrzewali i jedna z „młodych” mówi:

- A ty potrafisz się przeżegnać i powiedzieć Ojcie Nasz?

Zaśmiałem się i zrobiłem znak krzyża najpierw na prawe, potem na lewe ramię i zacząłem mówić:

- „Otcze Nasz, isy na nebesi ...”

Kiedy skończyłem, spytałem, czy mam mówić jeszcze „Boharodycia Diwa” („Zdrowaś Maryjo”)?

- Nie, nie trzeba. A Polaków w Kosowie jeszcze jest dużo?

Znów się zaśmiałem:

- Nie ma ich już dużo. Trochę już wyjechało, trochę wybili, a reszta też niedługo wyjedzie.

Zaniosłem siostrze w garnuszku wodę i mówię:

- Pij, bo oni patrzą cały czas.

Siostra wypila na siłę parę łyków, odniosłem garnuszek, podziękowałem i pożegnałem ich zawołaniem:

- Sława Ukraini.

- Sława Herojam – odpowiedzieli.

Poszliśmy dalej. Z powrotem już nie wracaliśmy przez Kowalówkę, ale przez Jabłonów i Pistryń. Na szczęście droga minęła bezpiecznie.



X 1948 r., ślubne zdjęcie siostry autora – Emilia Sitnik i Jan Bednarski, fot. Arch. Jana Sitnika



Nysa, budynek Ośrodka Szkolenia „Energetyk”, fot. Arch. Jana Sitnika

W maju 1946 roku wyjechaliśmy do Kołomyi, gdzie załadowaliśmy się do wagonów. Następnego dnia cały transport ruszył w kierunku Stanisławowa. Po przyjeździe do stacji nadgranicznej Chyrów siostra, która miała 25 lat, została w naszym wagonie za młodszą o trzy lata Marię. Ta zaś przeszła do wagonu, w którym jechała moja koleżanka Maria Wydmańska o trzy lata młodsza od Marii. Ona przeszła do wagonu, w którym była pani zarejestrowana z pięciorgiem dzieci jako jej 12-letnia córka. Przez całą drogę żyliśmy w napięciu, czy NKWD z Kosowa nie zawiadomi straży granicznej o nielegalnym wyjeździe. Dzięki Bogu wszystko poszło dobrze. Kontrola polegała na sprawdzeniu ilości osób. Dorosła osoba mogła jechać zamiast dziecka. Cała kombinacja była więc niepotrzebna, ale kto o tym wiedział.

Zanim dojechaliśmy do Chyrowa, były trzy przypadki wymuszenia łapówki przez kolejarzy. W Stanisławowie kilku kolejarzy oglądało wagony i o czymś dyskutowało. W Stryju podeszli do trzech wagonów. W pierwszym jechali Żydzi, mający za bagaż małe walizeczki. W drugim jechaliśmy my i jeszcze dwie rodziny. W trzecim wiezono naczynia liturgiczne z kościoła oraz cenniejsze szaty, sztandary, obrusy, itp. Kolejarze powiedzieli:

- Musicie się wyładować, bo w wagonach są słabe resory i trzeba je wymienić. Te wagony pójdą do naprawy, a wy dostaniecie inne.

- Jak będą te inne wagony, to się przeładujemy, inaczej nic z tego.

Przywieźli na wózku cztery resory, podlewarowali wagon, namorowali się zmieniając resor, gdyż odbywało się to wszystko siłą mięśni ludzkich. Zobaczyli, że nic nie uzyskają, zabrali trzy pozostałe resory i za chwilę transport ruszył. W Drohobyczu sytuacja powtórzyła się z tą różnicą, że sworznie na sprzęgu wagonów były słabe, więc trzeba wagony wymienić! Powiedzieliśmy im:

- Przecież każdy wagon ma sprzęg. Jeżeli jeden jest słaby, zarzućcie drugi i to na pewno wytrzyma.

Za chwilę transport ruszył, ale wcześniej kolejarze napisali kredą na wagonie: „bolnyje wahony”. Siedziałem z kuzynem na podłodze wagonu w otwartych drzwiach i zobaczyłem, jak Żydzi zawiązaną na kiju mokrą szmatę zmywają napis. Dlatego my i następny wagon zrobiliśmy to samo. W Samborze kolejarze chodzili wzdłuż wagonów, zaglądali, jakby czegoś szukali, w końcu spytali:

- Gdzie są bolnyje wahony?

- Jakie bolnyje wahony?

- To znaczy niesprawne.

- Jak są niesprawne, to szukajcie które, bo my nic nie wiemy.

Pochodzili i poszli. Obawiali się, że jeżeli nie trafią na te, które były oznaczone, wyda się, że to jest „lipa”. W Chyrowie na bocznicy, gdzie nasz transport zamanewrowano, biegł drewniany pomost (peron) przeładunkowy, a na sąsiednim torze stały polskie wagony. Ucieszyliśmy się, że szybko przeładujemy się. Nic z tego. Kierowniczka transportu Rosjanka powiedziała, że te wagony odjadą, a przyjadą inne i wówczas będziemy mogli się przeładować. Tak trzymano nas w niepewności do nocy. Gdy już było całkiem ciemno, kazali się przeładować. Wagony oświetlaliśmy świecami. Gdy odwróciłem się w polskim wagonie, chcąc wyjść po następne bagaże, coś mignęło na pomoście, jakby ktoś przeszedł. Pytam kuzyna:

-Widziałeś?

- Tak, jakby ktoś przebiegł.

Wyszliśmy na pomost, nie było widać nikogo, ale usłyszałem jakiś odgłos między wagonami. Przeszliśmy do końca wagonu, nie ma nikogo. Stałem na zderzaku, następnie na sprzęgu i na drugim zderzaku. Trzymając się klamry, wychyliłem głowę poza wagon, a tam żołnierz z bagnetem na karabinie pchnął, ale nie trafił. Bagnet otarł się o szczę-

kę i gardło. Szybko się cofnąłem i już nie zaglądaliśmy poza wagony. W ciemności było słychać krzyki. Jeżeli ktoś niósł jakieś rzeczy nieostrożnie, to spod pomostu żołnierze łapali za zwisającą rzecz i wyrwali. Po przeładowaniu zamknęliśmy się w wagonach. Gdzieś chyba już po północy przyszedł oficer, dwóch żołnierzy i kazali wszystkim wyjść z wagonu. Oficer wszedł, sprawdził, czy wagony są puste i z karty ewakuacyjnej zaczął wyczytywać imię i nazwisko. Wyczytana osoba wchodziła do wagonu. W wagonie, w klatce pod bagażami, była ukryta duża świnia, gdyż świń nie wolno było przewozić! Ta rodzina zabrała ją, żeby zabić. Przed wyjazdem miało się to z celem, gdyż w cieple wszystko by się zepsuło. Świnie nakarmiono i spała. Nie było żadnych odgłosów. Jednak było trochę czuć, pomimo iż starano się utrzymać czystość. Oficer po sprawdzeniu ilości osób, zeskoczył z wagonu i powiedział:

- A tego kabana to odkryjcie, bo się zadusi.

Poszedł. Już w Polsce od osób, które jechały ostatnim transportem, dowiedzieliśmy się, że z PUR-u, który kończył działalność, a personel miał wyjechać do Polski, Sowici wywieźli cały samochód różnych rzeczy nagromadzonych z łapówek za możliwość rejestracji na wyjazd do Polski.

Rano transport z Chyrowa ruszył w kierunku granicy do Krościenka. Gdy przejeżdżaliśmy przez granicę, wszyscy odetchnęli. Myśleliśmy, że teraz przynajmniej będziemy bezpieczni od banderowców. Jechaliśmy przez zalesione tereny. Było bardzo ciepło. Drzwi wagonu były otwarte, żeby przewiew łagodził duchotę. Naraz z niewysokiej skarpy na transport zaczął lecieć grad kamieni. Co się dzieje? Na skarpie w szeregu stała grupa wyrostków obojga płci i rzucała kamieniami. W pośpiechu zamykały się drzwi. Wszyscy byli zdenerwowani. Dlaczego w Polsce obrzucają nas kamieniami? Tor wiódł głębokim wykopem. Widać skarpy zarosnięte gęstym młodnikiem i krzewami. Pociąg zatrzymał się. Staliśmy około 2 godzin, po czym ruszyliśmy. Minęliśmy Krościenko.

W pobliżu wioski Brzegi Dolne transport wjechał na drewniany most nad rzeką Strwiąż. Wokół mostu pełno wojska w bunkrach. Maszynista, zwalniając, wolno wjechał na most. Za mocno przyhamował i skład zatrzymał się na moście.

- Jedź, nie zatrzymuj się, bo most może się załamać!

Faktycznie słychać było trzaski wydawane przez belki stanowiące

jego konstrukcję. Dało się odczuć jakby drżenie. Nastąpiła chwila grozy, że za chwilę możemy runąć w dolinę rzeki, której dno było około 10 m poniżej poziomu torów. Maszynista delikatnie ruszył i wolniutko przejechaliśmy most. Chyba wszyscy w tych 48 wagonach odetchnęli z ulgą. Wjechaliśmy do Ustrzyk Dolnych i ze zdumieniem zobaczyliśmy żołnierzy z zakrwawionymi bandażami. Innych niosących rannych na noszach. Panował ruch, słychać było krzyki i nawoływania. Przechodzącego żołnierza spyaliśmy, co się dzieje.

- Banderowcy nas zaatakowali. Prawie dwie godziny trwała walka. Szczęście, że nie mamy zabitych.

Okazało się, że staliśmy w tym jarze, czekając na koniec potyczki. Gdyby nasz transport przyjechał do Ustrzyk przed napadem, na pewno byłoby wśród nas wielu rannych, a może i zabitych. Szok! Przecież my wyjechaliśmy, uciekając od banderowców, a okazało się, że byliśmy w centrum walk. Żołnierz ten powiedział:

- Bezpieczni będziecie, jak miniecie Sanok, a do Sanoka wszystko może się zdarzyć.

Na szczęście odbyło się bez niespodzianek. W Sanoku, w klasztorze o. franciszkanów, zostawiliśmy to, co wieźliśmy z kościoła w Kosowie. Przyjął nas o. Benedykt, który był na parafii w Kosowie i w tym czasie pełnił godność przeora.

Przez Krosno, Jasło, Chabówkę, Żory, Rybnik, Racibórz, Gliwice, Nysę, Legnicę dowieziono nas w okolice Przemkowa na stację noszącą wówczas nazwę Krze Koty, dziś Niegosławice. Tam kazano się wyładować i zajmować wolne budynki. Okolica była lesista, miała wiele stawów rybnych. W Przemkowie mieszkali ludzie, a wioski wokół próżne, żywego ducha. Wioski ładne, zabudowania nowe, niezniszczone. W rozmowie z mieszkańcami Przemkowa dowiedzieliśmy się, że w lasach grasują niedobitki Niem-



1948 r., Jan Sitnik, fot. Arch. Jana Sitnika

ców, tzw. „Verhvol”, którzy napadł na osiedleńców. To samo robili też Rosjanie na konto Niemców. Cały teren od Legnicy, gdzie mieściło się dowództwo jednostek Armii Radzieckiej, Przemków, Szprotawę zajęli Rosjanie, tworząc tam ogromny poligon.

Przy takim stanie rzeczy nikt nie chciał się wyładować. Trzymano nas tam cztery doby. W końcu zebraliśmy trochę pieniędzy i delegacja pojechała do PUR-u, do Wrocławia. Tam wręczyli łapówkę i piątego dnia cały transport skierowano z powrotem do Legnicy. Oznajmiono nam, że tam, gdzie transport się zatrzyma, kto chce, może wyładować się. Tak też się stało. Po drodze kilka wagonów pustoszało. Do Kamieńca Ząbkowickiego dojechały trzy wagony i to już była ostateczna końcowa stacja. Osiedliliśmy się na wsi Jodłówka, obecnie Doboszowice. Ponieważ wieś była już zasiedlona przez repatriantów z Siemianówki koło Lwowa, osadzono nas na największych gospodarstwach jako drugich osadników.

Była połowa czerwca. Zaczęliśmy odczuwać brak żywności. Zapasy zabrane ze sobą prawie się skończyły podczas dwutygodniowej podróży. Pieniądzy nie było, więc z konieczności z ojcem chodziliśmy do wcześniej osiedlonych, by zarobić na jedzenie. Owszem, dawano nam posiłki dobre i obfite, ale nikomu nie przyszło na myśl, by dać nam trochę mleka czy sera, a prosić nie chcieliśmy. We wsi był warsztat elektryczny, w których pracowało dwóch braci: Szczepan Tuła, kawaler i jego starszy brat, żonaty. Szczepanowi spodobała się moja siostra, Maria. Pod pretekstem uszycia spodni przez starszą siostrę Emilię, która miała maszynę do szycia, przyszedł i tak się zapoznali. Za uszycie spodni zapłacił 100 złotych. Mając pieniądze, siostra poszła kupić mleko do sąsiedniego gospodarstwa, gdzie było kilka sztuk bydła. W sieniach na kamiennej posadzce stało kilka garów pełnych mleka.

- Chciałam kupić dwa litry mleka.

- Nie ma mleka – padła burkliwa odpowiedź.

Wśród swoich byliśmy przez cały czas traktowani jak obcy, siostra Emilia, która mieszka tam do dziś, nadal jest „obca”.

W październiku 1946 roku zostałem przyjęty do 3-letniego gimnazjum Ośrodka Szkoleniowego „Energetyk” w Nysie i zamieszkałem w internacie. Uczniowie byli praktycznie z całej Polski. Na początku w rozmowach ci, z tzw. Centralnej Polski, pytali o nasze przeżycia, stosunek do Rosjan i Niemców. Nie wiedząc, że o niektórych prawdach nie

należy głośno mówić, mówiłem prawdę o metodach NKWD w latach 1939-41, Niemców i Rosjan w latach 1944-46. Tak zasłużyłem na opinię „wroga Związku Radzieckiego”. To, że mnie nie aresztowano, zawdzięczam chyba tylko dobrej opinii wystawionej przez NKWD w Kosowie. Kiedy byłem w trzeciej klasie gimnazjum, przyjechali do szkoły podchorążowie, agitując do szkoły oficerskiej. Kilku kolegów i ja zapisaliśmy się. W czasie wakacji z WKR w Kłodzku otrzymałem bilet i pismo w zalakowanej kopercie, którą miałem oddać w dowództwie okręgu wojskowego we Wrocławiu. Tam zgłaszający się ochotnicy przechodzili badania lekarskie. W sierpniu wezwany do WKR-u otrzymałem bilet do Oficerskiej Szkoły Łączności Radiowej w Sieradzu nad Wartą. Było nas dwustu, których zakwaterowano w długim baraku, gdzie przez trzy dni i dwie noce męczyliśmy się jak śledzie, śpiąc na deskach. Po zorientowaniu się i szczerych rozmowach z niektórymi podchorążymi odechciało mi się wojska i zostania oficerem. Pozostał problem, jak się z tego ambarasu wydostać. Jeden z podchorążych powiedział:

- Ponieważ jesteś ochotnikiem, nie możesz zrezygnować! Jak cię przyjmą, to w ostateczności możesz odmówić złożenia przysięgi, ale wtedy masz tzw. „wilczy bilet” na całe życie.

Kopertę zalakowaną otrzymaną w WKR oddałem w komendanturze szkoły. Trzeciego dnia zgromadziliśmy się na egzaminy. Egzamin z języka polskiego i matematyki był na poziomie szkoły podstawowej. Szybko napisałem, rozwiązałem wszystkie trzy zadania i siedzę. Chłopcy siedzący koło mnie zapytali:

- Już napisałeś?

- Tak.

- To daj odpisać!

Sześciu odpisało rozwiązania z matematyki. Po zebraniu kartek mieliśmy wrócić na odczytanie wyników. Wyczytywali nazwiskami według alfabetu. Wszystko szło sprawnie i szybko. Przyjętych odsyłano do baraku, nieprzyjętym wręczano bilet powrotny do domu. Ci, którzy odpisali ode mnie wypracowania, zostali przyjęci. Wyczytali moje nazwisko. Usłyszałem:

- Nieprzyjęty z powodu niezdania egzaminu.

W pierwszej chwili osłupiałem, ale gdy dotarło do mnie, że jestem wolny, prawie w podskokach odebrałem bilet i skierowałem się do wyj-

ścia. Brama wyjściowa była usytuowana obok bloku komendatury. Było już ciemno. Nad drzwiami komendatury paliła się niewielka żarówka, a na schodach stał oficer w stopniu majora. Podszedłem, a on spytał:

- Co, do domu? Nie przyjęli?

- Nie, nie przyjęli – powiedziałem.

- A z jakiego powodu?

- Rzekomo nie zdałem egzaminu. Tylko dziwi mnie, że ci, którzy odpisywali ode mnie, zostali przyjęci.

Wówczas wyjął z kieszeni munduru ćwiartkę papieru i podał mi ją ze słowami:

- Sitnik, dlaczego wystawiono ci taką opinię?

Przeczytałem i zdumiałem się. Było tam napisane: „Stwierdza się, że kol. Jan Sitnik jest wrogiem ZSRR”. Byłem zaskoczony tym, że zwrócił się do mnie po nazwisku. W późniejszym czasie dowiedziałem się, że pochodził z Kosowa i znał całą naszą rodzinę.

Z takim piętnem nie chciano przyjąć mnie do liceum, rzekomo z braku miejsca. Pojechałem do Okręgowej Dyrekcji Szkolnictwa Zawodowego w Katowicach z interwencją. Pani inspektor, pomimo szczerych chęci, nie mogła zadecydować bez porozumienia z Centralną Dyrekcją Szkolnictwa Zawodowego w Warszawie. Ponieważ nie mogła uzyskać przez cały dzień połączenia telefonicznego z Warszawą, bezradnie rozłożyła ręce. Niewiele myśląc, pojechałem do Warszawy do CUSzZ. Po kilkugodzinym oczekiwaniu na inspektora, który był na naradzie, przedstawiłem sprawę, że uczeń z 50. lokatą został przyjęty, a dla mnie z 18. lokatą nie było miejsca. Po wysłuchaniu mojej relacji inspektor na karteluszkę napisał: „Dyrektor O.S.E. w Nysie. Proszę przyjąć Jana Sitnika na ucznia liceum”.

Po powrocie z Warszawy skierowałem się do sekretariatu. Dyrektor rozmawiał przez telefon. Popatrzył, kto wszedł i odkładając słuchawkę, rozłożył ręce i powiedział:

- Niestety, nie ma miejsca.

Gdy wręczyłem mu ten karteluszek, przeczytał i powiedział:

- Proszę iść do klasy.

Przez dwa lata liceum, aż do matury, na jego lekcjach byłem powie-
trzem. Nigdy mnie nie zapytał, ale stopień stawiał pozytywny.

Od gimnazjum działałem w harcerstwie. W liceum jako funkcyjny drużynowy w stopniu „ćwik” mogłem być w harcerstwie, które ograniczano do szkół podstawowych. Później byłem w komendzie hufca w Nysie. Miałem stopień H.O. (Harcercz Orli). W szkole zaczęto organizować Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Z oporami, ale dla świętego spokoju, wszyscy, oprócz mnie, podpisali deklaracje. Ogłaszając zebranie TPPR, zawsze padało zdanie: obecność obowiązkowa, a sympatycy mile widziani. Tym sympatykiem mogłem być tylko ja. Po wypowiedzeniu tej formułki wychodziłem z klasy. Pewnego dnia, korzystając z tzw. „okienka” (wolnej lekcji), przewodniczący Zdzisław Mierzwa ogłosił zebranie TPPR. Ja zostałem proszony o pozostanie. Najpierw omawiali różne sprawy, a na koniec padło pytanie:

- Dlaczego kolega Sitnik nie chce należeć do TPPR?

Zaległa cisza. Wszyscy patrzyli na mnie. Przyparty do przysłowiowego muru, powiedziałem:

- Oczekuję na odpowiedź na jedno moje pytanie. Od tego będzie zależeć, czy podpiszę, czy nie podpiszę deklaracji członkowskiej.

- No słuchamy, jakie to pytanie?

- Proszę odpowiedzieć. Czy można być jednocześnie wrogiem i przyjacielem ZSRR, czy nie? Jeżeli tak, to podpisuję deklarację, jeżeli nie, to nie mogę jej podpisać.

Dzwonek zadzwonił, zebranie się skończyło.

W internacie przyszedł do mnie kolega z klasy, który był sekretarzem szkolnej POP, a na zebraniu TPPR nie był obecny i spytał:

- Co się dzieje, dlaczego tak postawiłeś sprawę?

- Ty nie wiesz dlaczego? To spytaj Zdzicha Mierzwę.

- Spytałem, ale ty mi powiedz.

Powiedziałem mu.

- Ja nic o tym nie wiem. Sprawdzę.

Za kilka dni wezwali mnie do szkolnego przewodniczącego ZMP. Przyjął mnie przewodniczący, sekretarz PZPR, i dwóch cywili, prawdopodobnie z UB. Przewodniczący dał mi ćwiartkę papieru, na której była nowa opinia bez wzmianki do mojej wrogości do ZSRR. Przeczytałem, oddałem mu i spytałem:

- Jeżeli to wszystko, czy mogę iść?

- Tak, możecie. Teraz to chyba wszystko będzie w porządku.

- Nie, nie będzie. Kiedy wyjdę za drzwi, ten papier, który zwróciłem, pójdzie do kosza, a tamten stary zostanie.

Wszyscy zachnęli się. Spojrzeli po sobie, a przewodniczący wyjął tę starą opinię, porwał, wrzucił do kosza i spytał:

- A teraz?

- Teraz, jeżeli ta nowa opinia pozostanie, bo porwaną zawsze można odtworzyć, to będzie w porządku.

Już nie miałem wyjścia i musiałem zapisać się do TPPR.

Po maturze dostałem nakaz pracy w Elektrowni „Victoria” w Wałbrzychu, gdzie pracowałem w dziale głównego energetyka inż. Koczi-ja od 1 lipca do połowy września. We wrześniu zostałem powołany do wojska, do samodzielnego dywizjonu artylerii przeciwpancernej w Jarosławiu. Po umundurowaniu, po tygodniu, cały młody rocznik w liczbie 40 osób został skierowany do szkoły podoficerskiej łączności radiowej w Rzeszowie przy Korpusie. Przez kilka dni do chwili rozpoczęcia zajęć u Szefa Sztabu Korpusu zajmowałem się sklejaniami map, rysowaniem plansz na brystolu (formaty A0) oraz wykonywaniem innych papierkowych czynności. Po tygodniu od rozpoczęcia zajęć na sali wykładowej dostałem ataku nagłego spadku ciśnienia. Bezwładnie osunąłem się na siedzącego obok żołnierza. Zaniesiono mnie do sali na łóżko, gdzie przez dwie doby dochodziłem do siebie. Trzeciego dnia lekarz zaprowadził mnie do szpitala na badania. Następnego dnia odesłano mnie z powrotem do jednostki, do Jarosławia. Lekarz, wręczając mi zalakowaną kopertę z wynikami badań i decyzją dowódcy szkoły, powiedział, że on nie chce za mnie odpowiadać. W jednostce Szef Sztabu por. Łatasiewicz ucieszył się z mego powrotu. Ponieważ była to nowo utworzona jednostka i nie było żadnych pomocy szkoleniowych, zatrudniono mnie do rysowania plansz na brystolu A0 dla celów szkoleniowych. Ogółem wykonałem ponad 130 plansz tuszami kolorowymi oraz powiększyłem kilka map. Po przysiędze zostałem pisarzem sztabowym w kancelarii ogólnej, z baterii zostałem przeniesiony do plutonu dowodzenia (gospodarczego). Zdjęto mi karabin z uzbrojenia i od tego czasu byłem nie w wojsku, ale przy wojsku. Po odejściu starego rocznika do cywila przejąłem tajną kancelarię i prowadziłem obie. Cieszyłem się zaufaniem oficerów. Udało mi się przypadkowo uchronić od przykrych następstw beztroski kpt. Bałabasa – kwatermistrza, który, udając się na obiad, pozostawił

teczki z tajnymi dokumentami na biurku w praktycznie niezamkniętym pomieszczeniu. Przechodząc, zobaczyłem przez okno dokumenty, więc wszedłem i zabrałem je do kancelarii. Wychodząc, zobaczyłem oficera informacyjnego zaglądnącego przez okno. Był to kapral Kmieciak, jak się okazało szpicel, który donosił.

Oficerom bez rozkazu wyjazdu nie wolno było oddalać się poza teren garnizonu. Szef Sztabu miał narzeczoną w Wadowicach, do której wymykał się, kiedy dowódca wyjeżdżał w dłuższą podróż służbową. Pewnej niedzieli odebrałem telefon z Dywizji z Przemyśla z informacją, że Szef Sztabu ma się zameldować u oficera personalnego w poniedziałek o 8.00. Na szczęście zastępca szefa por. Lisiak miał adres do Wadowic. Wziąłem adres, poszedłem do naczelnika poczty, który był przedwojennym oficerem łączności. Zameldowałem się z prośbą o pomoc.

- Panie naczelniku, szef jest naprawdę dobrym człowiekiem i szkoda, żeby przez kapusia musiał ponieść konsekwencje.

- Jeżeli tak mówisz, to idziemy.

Poszliśmy do sali, gdzie był dalekopis. Przez linię wojskową uzyskał Kraków, który połączył go z Wadowicami, i przesłał depeszę: „Wysłać natychmiast gońca pod podany adres z depeszą i odpowiedzieć”. Za chwilę dalekopis odpisał: „Gońca wysłano”. Gонец dostarczył depeszę matce. Młodych nie było w domu, bo poszli na spacer. Matka pobiegła ich szukać. Gdy porucznik przeczytał depeszę i spojrzał na zegarek, tak jak stał, bez pasa, płaszcz i czapki pobiegł na dworzec, by złapać ostatni pociąg. W Krakowie miał połączenie do Jarosławia. Rano ktoś mnie obudził. Otwieram oczy, a szef sztabu spytał:

- Co się dzieje?

- Nic. O godz. 8.00 ma się pan zameldować u oficera personalnego w dywizji.

Biegiem udał się na dworzec, gdzie zdążył na pociąg do Przemyśla. Po powrocie spytałem:

- Co chcieli, o co chodziło?

- Chodziło o to, żeby być! Zameldowałem się i powiedziano, że mogę wracać do jednostki.

Gdyby nie zdążył, byłby może nawet sądzony za samowolne opuszczenie garnizonu.

W 1953 roku jesienią, na skutek różnych zdarzeń, rozwiązano sze-

reg jednostek. Między innymi i nasz dywizjon. Przez dwa miesiące było dużo pracy. Kompletowano i zdawano akta tajnej kancelarii do archiwum Okręgu Wojskowego w Krakowie. Po zakończeniu, ostatnich nas trzech, udało się do Pułku Artylerii Lekkiej do Przemyśla. Przez trzy tygodnie byłem w Kompanii Dowodzenia bez przydziału. Dowódcą Kompanii był por. Lisiak, były z-ca szefa sztabu z Jarosławia, który po apelu wywołał mnie i powiedział:

- Idź do kancelarii, porozkładaj papiery i udawaj, że pracujesz. Po co mają ciebie ganiać po mrozie.

A zima była tęga. Mrozy dochodziły do -25°C. Był koniec stycznia 1953 roku. Szykowałem się wyjazd na zimowy poligon. Miałem problem, jak się uchronić przed wyjazdem. Byłem lekko przeziębiony. Kaszlałem. Zapisałem się do lekarza. Po zbadaniu lekarz kazał sanitariuszowi wypisać mi skierowanie do szpitala w Krakowie. Ten przez pomyłkę zamiast formularza do badania wypisał formularz do leżenia. Z tym skierowaniem poszedłem do kancelarii ogólnej po rozkaz wyjazdu do Krakowa. Otrzymałem go, ale z poleceniem, że zabiorę do Okręgu tajną pocztę.

- Pobierzcie broń, pocztę i możecie jechać.

Broni nie chciałem brać, bo musiałbym wtedy wrócić do jednostki. Podczas pobierania tajnej poczty padło pytanie:

- A gdzie wasza broń?

- Broń pobiorę przed wyjściem do pociągu, który odchodzi o 24.00.

Ponieważ z jednostki do stacji było ponad 2 km, krótko po 23.00 odmeldowałem się. Pocztę tajną umieściłem pod mundurem, przyciskając paskiem od spodni i tak bez broni pojechałem do Krakowa. W Krakowie byłem w sobotę o 6.00 rano. Skierowałem się do dowództwa Okręgu. Ale jak zdać pocztę, nie mając broni ani konwojenta? Przez chwilę rozmyślałem, jak mam postąpić. Nagle zobaczyłem żołnierza idącego z bronią. Zatrzymałem go i poprosiłem, żeby został na chwilę moim konwojentem.

- Dobrze, nie ma sprawy.

Wszedłem do poczekalni przed tajną kancelarią. Żołnierz stanął w drzwiach, a ja zapukałem w okienko. Zaspany sierżant otworzył je.

- Co jest?

- Nic, przywiozłem pocztę z Przemyśla.

- A gdzie wasza broń?

- Mam konwojenta.

Sierżant wychylił się, zobaczył żołnierza z bronią, więc pokwitował odbiór poczty i wyszliśmy. Podziękowałem chłopakowi i poszliśmy każdy w swoją stronę. Udałem się do wojskowego szpitala przy ul. Długiej. W szpitalu były takie procedury, że zgłaszający się musiał przejść badania wszystkich specjalności. W izbie przyjęć dostałem kartę badań, więc chodziłem od oddziału do oddziału. W sobotę pracowano w szpitalu do godz. 13.00. Pozostały mi dwa oddziały: okulistyczny i neurologiczny. Musiałem czekać do poniedziałku. Wracać nie chciałem, bo obawiałem się, że w poniedziałek mogą mnie nie puścić. Zatrzymać się w Krakowie nie miałem gdzie. Poza tym byłem bez pieniędzy. Kręciłem się po dworcu w Krakowie, nie wiedząc, co począć. Na szczęście miałem ze starej jednostki karty urlopowe in blanko. Schowałem więc rozkaz wyjazdu i wypisałem sobie kartę urlopową. Podeszedł do mnie patrol wojskowy.

- Rozkaz wyjazdu – zażądali.

- Mam kartę urlopową.

Pokazałem, przeczytali i życzyli dobrego urlopu. Około godz. 14.00 ten sam patrol podeszedł do mnie znowu.

- Co wy tu jeszcze robicie?

- Czekam na pociąg.

- Na jaki tyle godzin czekacie?

Odruchowo spojrzałem na rozkład jazdy i zauważyłem, że za 10 minut będzie odchodził pociąg do Poznania przez Kluczbork.

- Czekam na ten do Poznania o 14.10, ale jest spóźniony.

- No to pilnujcie go, bo jak jeszcze raz was tu spotkamy, to pójdziecie na Komendę Garnizonu.

Rad nierad za ostatnie wysupłane grosze kupiłem peronówkę i wsiadłem do tego pociągu. Był to dzień, w którym odbywały się przysięgi młodego rocznika, więc pociągi były przepełnione do granic możliwości. Na gapę do-



1960 r., Jan Sitnik, fot. Arch. Jana Sitnika

jechałem do Kluczborka. Tam przenocowałem u wujenki i w niedzielę wieczorem wróciłem do Krakowa. Wujenka dała mi 50 zł, żebym wykupił bilet, ale szkoda mi było wydawać pieniądze, więc na gapę rano przyjechałem do Krakowa. W szpitalu załatwiłem badania na pozostałych dwóch oddziałach i z wynikami poszedłem na izbę przyjęć. Na dyżurze był inny lekarz, nie ten, który był w sobotę. Oddałem wszystkie wyniki. Lekarz poprzeglądał je i w tym momencie wszedł ten, który badał mnie w sobotę.

- O, widzę, że masz nowego pacjenta.

- Tak, ale według tych wyników, to nie wiem, po co go tu przysłali.

Obydwaj przeglądali wyniki. Na koniec lekarz dyżurny powiedział:

- Nie ma podstaw do przyjęcia.

- Przyjmij chłopaka. Jest dużo wolnych miejsc, niech chłopak odpocznie i przeczeka zimowy poligon.

Zaczęli się nawzajem przekonywać.

- Macie skierowanie?

- Mam.

Wyjąłem blankiet skierowania.

- O, to nawet na leżenie.

- Taki mi lekarz w jednostce wystawił.

Lekarz wziął blankiet i zaczął czytać.

- Skąd wy jesteście?

- Z jednostki z Przemyśla.

- Przecież tam macie szpital garnizonowy, to czemu was przysłali tu do Krakowa?

- Byłem w szpitalu garnizonowym. Tam mnie prześwietlili, zbadali, wynik włożyli do zalakowanej koperty. Kopertę oddałem lekarzowi w jednostce i otrzymałem to skierowanie.

- No widzisz – mówi ten drugi lekarz. – Ma chłopak skierowanie na leżenie, miejsca są, więc przyjmij go.

Po chwili zapadła decyzja. Miałem zdać mundur i zgłosić się na oddział. Poczułem wielką ulgę. W szpitalu była taka zasada, że gdyby okazało się, że przyjęty pacjent jest najzdrowszy, to obowiązkowo przez dwa tygodnie musiał pozostać na obserwacji. Co za ulga. Łóżko miałem z materacem na siatce ze sprężynami, nie to co przetarta słoma w sieniaku, przez które wyczuwa się twarde deski. Była też prawdziwa podusz-

ka, a nie zagłówek wypchany sianem. Do przykrycia puszyste, wełniane koce, a nie wytarte derki. Wyżywienie jak marzenie. W czasie dnia podawali pięć posiłków. Do dyspozycji była świetlica z różnymi gramami oraz biblioteka. Przede wszystkim ciepło, a nie 6°C jak w koszarach. Ordynatorem oddziału była pani dr Wójcikowa w stopniu pułkownika. Po tygodniu, po wizycie oznajmiła, że pięciu z ośmiu z naszej sali, w tym i mnie skierowała na komisję lekarską. Wezwali nas na komisję. Myślałem, że komisja to będą badania, itp. Pacjenci byli wzywani pojedynczo. Pobyt przed komisją trwał kilka minut. Zostałem wezwany. Trzech wojskowych lekarzy popatrzyło na mnie i w papiery.

- Możecie już wyjść na oddział.

Trzeciego dnia po wizycie pani doktor oznajmia, że moje skierowanie i jeszcze dwóch kolegów komisja odrzuciła. Wizyta zwykle kończyła się na naszej sali. Po wizycie wyszedłem na korytarz. Pani doktor stała oparta o piec (nie było centralnego ogrzewania). Popatrzyła na mnie i pytała:

- Sitnik, jak się czujesz?

- Dobrze.

Przecież wiem, że ona jest zorientowana w stanie mego zdrowia, więc nie ma co kręcić.

- Gdzie służysz?

- W pułku artylerii lekkiej w Przemyślu.

- Mnie chodzi o to w jakiej specjalności.

Zgodnie z prawdą oznajmiłem:

- Jestem pisarzem sztabowym.

- O, to możesz służyć nawet 10 lat. Gdyby wszyscy byli w takim stanie zdrowia, to my tutaj nie byłibyśmy potrzebni.

- Nie warto więc mówić prawdy.

- Dlaczego?

- Bo gdybym powiedział, że jestem w ogniowcach lub łączności czy innej ciężkiej służbie, byłaby nadzieja pójścia do cywila. A tak przez to zimno panujące w koszarach prawdopodobnie następnej zimy po zimowym poligonie znów znajdę się tutaj. Poza tym w wojsku zapominam tego, czego nauczyłem się w szkole. Chciałbym być w cywilu i pracować w swoim zawodzie.

Jeszcze chwilę porozmawiała ze mną, wypytując o wyuczony zawód.

Następnego dnia po wizycie oznajmiła, że moje papiery i jeszcze dwóch pacjentów z sali zostały skierowane powtórnie na komisję. Czekaaliśmy na wezwanie, ale bez skutku. Doszliśmy do wniosku, że pewnie znów komisja odrzuciła nasze papiery. W piątek drugiego tygodnia pobytu w szpitalu, po wizycie, pani doktor oznajmiła:

- Wy - pokazała na mnie i na dwóch z sali - z dniem wczorajszym zostaliście zwolnieni do cywila. Pobrać mundury i możecie opuścić szpital. Przedtem trzeba odebrać orzeczenie komisji.

Euforia, radość, jestem w cywilu. Odebrałem orzeczenie komisji, przeczytałem i mina mi zrzedła. Wprawdzie na końcu było napisane, „zwolniony jako całkowicie niezdolny do służby wojskowej”, ale z treści wynikało, że ze zdrowiem nie jest tak wesoło. Udałem się więc do pani doktor i spytałem:

- Z tego co przeczytałem w orzeczeniu, z moim zdrowiem nie jest najlepiej, a tak miało być dobrze.

- No cóż, musiałam wnioskując do komisji napisać takie uzasadnienia, żeby nie odrzucono wniosku. Nie masz się czym martwić. Wszystko jest w najlepszym porządku i tylko pozostaje mi życzyć ci osiągnięć i zadowolenia w cywilnym życiu.

Podziękowałem jej serdecznie, ledwo powstrzymując wzruszenie. Nie chcąc wracać do jednostki na sobotę i niedzielę, gdzie kaprale wyżywali się na takich według ich mniemania „leserach”, poprosiłem o pozostanie na oddziale do poniedziałku. Zgodziła się bez zastrzeżeń. Mając świadomość, że już jestem cywilem, myślałem, że ta sobota i niedziela trwa miesiące. Nic mnie nie interesowało. Żadna gra na świetlicy ani książka, nic nie było w stanie zająć myśli. Tak, po nieskończonych długich dniach i prawie nieprzespanych nocach, w poniedziałek 20 lutego powróciłem do jednostki. Pobrałem rozkaz wyjazdu do domu po ubranie cywilne. Powróciwszy, zdałem mundur, pożegnałem się z dowódcą kompanii dowodzenia por. Lisiakiem i udałem się na dworzec. Po drodze minąłem cały oddział kolegów z Jarosławia wracających z łązni. Prowadzący ich ppor. Krzakowski stanął zdumiony, widząc mnie w cywilu. Chwilę porozmawialiśmy. Poszedłem w stronę dworca, a koledzy smętnie patrzyli za mną. To był luty 1953 roku. W WKR w Kłodzku kartotekę moją przekreślono czerwonym ołówkiem i miałem spokój z wojskiem.

Przez półtora miesiąca byłem w domu. Do Wałbrzycha nie wróciłem. Podjąłem pracę w Nysie, w dawnej fabryce mebli stalowych „Zachód”, gdzie aktualnie szła produkcja dla wojska. Przez miesiąc pracowałem jako konstruktor oprzyrządowania w dziale technologicznym. Po miesiącu utworzono dział narzędziowni. Mnie zaproponowano funkcję starszego konstruktora z obietnicą podwyżki pensji po trzech miesiącach. Miałem wówczas 750 zł pensji plus premia zależna od wykonania planu miesięcznego. Oprócz mnie było dziewięciu konstruktorów, materiałowiec oraz tzw. normowszczyk - normujący czas wykonania danego przyrządu lub narzędzia. Niestety, obietnicy podwyżki nie dotrzymano. Na starszego konstruktora przyjęto inż. Czerechowskiego, o czym dowiedziałem się po siedmiu miesiącach.

Do pracy dojeżdżałem 33 km pociągiem, a do przystanku miałem prawie 3 km. Cały dzień byłem na suchym prowiancie. Obiadokolacje mogłem jeść dopiero po powrocie, tj. o godz. 18.00. Zakład otrzymał pule mieszkań dla młodych techników z nakazem pracy. Napisałem podanie o przyznanie mieszkania, wyjaśniając moją trudną sytuację związaną z dojazdem. Podanie moje załatwiono odmownie.

W styczniu 1954 roku przyszedł do mnie do narzędziowni inż. Górny, który przyjmował mnie do pracy. Pełnił on wówczas funkcję głównego technologa. Był pracownikiem Centralnego Zarządu Przemysłu w Poznaniu, a do Nysy był delegowany. Spytał, jak mi się pracuje. Powiedziałem mu zgodnie z prawdą o moich perypetiach.

- Wiem i dlatego proponuję, żeby się pan przeniósł do Niemczy. Tam zakład nieduży. Na jednym oddziale idzie produkcja cywilna, a na drugim wojskowa. Dostanie pan wyższą pensję i mieszkanie. Ja tam wdrażam na razie produkcję wojskową.

Złożyłem więc wymówienie ze skutkiem natychmiastowym, uzasadniając niedotrzymanie przez zakład złożonych obietnic. Po burzliwych dyskusjach zostałem zwolniony z końcem lutego 1954 roku za obopólnym porozumieniem. Przez dwa i pół miesiąca przebywałem w domu, chcąc przetrwać zimę. Na zapytania z Niemczy mówiłem, że odpracowuję trzymiesięczny okres wymówienia. W dniu 14 maja 1954 roku podjąłem pracę w Niemczy na stanowisku szefa produkcji z uposażeniem 1000 zł plus premia od wykonania planu miesięcznego. Wówczas premia była większa od płacy podstawowej. Po przeszło roku w poufnej rozmowie zapro-

ponowano mi stanowisko kierownika Kontroli Technicznej, które pełnił kol. Zygmunt Klisowski. Miał on ukończone Technikum Radiotechniczne w Dzierżoniowie. Zakład załatwił mu przeniesienie do Zakładów Radiowych „Diora” w Dzierżoniowie. Otrzymałem 1100 zł pensji zasadniczej oraz 1000 zł stałej premii niezależnej od wykonania planu. Potrącenie premii mogło być dokonane tylko w wypadku otrzymanych reklamacji.

Produkcja wojskowa polegała na montażu urządzeń. Części i zespoły składowe były wykonywane przez kooperatorów rozrzuconych po całym kraju. Wojsko domagało się dokonywania odbiorów podzespołów u wykonawców tak, żeby do Zakładu w Niemczy do montażu nie trafiły zespoły z usterkami. Z tym wiązały się wyjazdy do kooperantów. Nie raz byłem 20 dni w miesiącu w rozjazdach. Przez trzy lata miałem tego serdecznie dosyć. Nieprzespane noce w pociągach czy na dworcach, bo o hotelu można było tylko marzyć. Zacząłem odczuwać ujemne skutki takiego trybu życia. Zaburzenia rytmu dobowego, bezsenność, utrata wagi ciała, arytmia serca. Po wakacjach zgłosiło się sześciu techników z nakazem pracy. Jednego z nich, bardzo energicznego i wykazującego się umiejętnościami organizacyjnymi, Tadeusza Szomkę, zaproponowałem na kierownika kontroli, a ja przeszedłem na stanowisko zastępcy szefa produkcji.

Gdy w Dzierżoniowie utworzono oddział produkcyjny w zabudowaniach pofabrycznych, a wykorzystywanych na magazyny PZGS, po jego rozbudowie dyrekcja przeniosła się do Dzierżoniowa. Zlikwidowano stanowisko szefa produkcji i zastępcy. Szefem produkcji był pan Czesław Markowicz, który został głównym technologiem, a ja zastępcą głównego technologa. Pan Markowicz był po maturze w ogólniaku, więc żeby utrzymać się w pionie technicznym, podjął studia zaoczne na Politechnice we Wrocławiu.

Dyrekcja nalegała, żeby dział technologiczny przeniósł się do Dzierżoniowa. Ponieważ nie chciałem dojeżdżać, zostałem w Niemczy jako kierownik produkcji obu oddziałów. Po wygaśnięciu produkcji wojskowej i przejęciu zakładu przez Przedsiębiorstwo Projektowania i Dostaw Inwestycyjnych w Warszawie, profil produkcyjny uległ całkowitej zmianie. Produkowaliśmy urządzenia inwestycyjne według dokumentacji opracowanej przez Biuro.

Tak było aż do czasu, gdy zaczęły zachodzić zmiany polityczne. W PZPR robiono czystki, usuwając tzw. stalinowców. Przyszli do władzy młodzi gniewni i na jednej z egzekutyw zakwestionowano mnie jako kierownika zakładu z powodu braku przynależności do partii. Ponieważ byłem bezpartyjnym, nie mogli dać mi zadania partyjnego. Miałem zaufanego członka egzekutywy, który mówił mi o wszystkim.
- Przenieś się, bo prędzej czy później zdejmą ciebie ze stanowiska.

Napisałem podanie o przeniesienie na inne stanowisko z powodu złego stanu zdrowia. Pomimo propozycji otrzymania stanowiska w Dzierżoniowie nie przyjąłem go ze względu na dojazd. Przeniesiono mnie do pracowni konstrukcyjnej jako konstruktora warsztatowego oraz oprzyrządowania. Straciłem wprawdzie na uposażeniu, ale nie musiałem dojeżdżać do Dzierżoniowa. Tak dotrwałem do połowy 1982 roku, kiedy przeszedłem na wcześniejszą emeryturę.

Gorzką pigułkę połknąłem ja i wszyscy z Niemczy, którzy odchodzili na emeryturę. Przez wszystkie lata pracy z czystym kontem, bez nagany, nikt się nie znalazł w Dyrekcji, by powiedzieć choć jedno słowo: dziękuję. Pracownikom z Dzierżoniowa, odchodzącym na emeryturę, zorganizowano pożegnanie. Nas z Niemczy potraktowano gorzej, jak po macoszemu.

Dziś, gdy wspomnę ten czas, odczuwam żal, gorycz i niesmak. Różne były chwile, lepsze i gorsze, ale ogólnie pozostały dobre wspomnienia i tylko żal, że wszystko minęło bezpowrotnie.

Podziękowania

Celinie Buszy, córce dra Apolinarego Tarnawskiego, właściciela Zakładu Leczniczego w Kosowie Huculskim.

Hannie Lewickiej-Hovels, córce ostatniego burmistrza Kosowa Huculskiego.

Horbowemu, współwłaścicielowi Zakładu Kilimiarskiego Gruszkowski i Spółka oraz jego córce Halinie.

Janowi Kaszyńskiemu, ogrodnikowi Zakładu Leczniczego dra Apolinarego Tarnawskiego.

Marii Wydmańskiej-Przybyła, za zdjęcia ćwiczeń wykonywanych przez kuracjuszy w Zakładzie Leczniczym dra Apolinarego Tarnawskiego.

Danucie Dzik i Jadwidze Horanin, za wsparcie literackie przy spisaniu moich wspomnień.

Dziękuję wszystkim, którzy wspomagali swoją pamięcią w ustalaniu terminów zdarzeń.

Na pewno wiele zdarzeń wartych pamięci pominąłem, ponieważ one nie dotyczą osób spokrewnionych. Opisanie wszystkich tragicznych zdarzeń wymagałoby napisania książki o wielokrotnie rozszerzonej treści.

Jan Sitnik



Jan Sitnik

Jan Zbigniew Sitnik – ur. 30 października 1929 r. w Kosowie Huculskim, które do 1945 r. należało do Polski i leżało w województwie stanisławowskim na Kresach Południowo-Wschodnich II RP. Był trzecim dzieckiem Magdaleny i Józefa Sitników.

Rodzice Jana Sitnika przed wojną prowadzili w Kosowie gospodarstwo rolne. Ojciec dodatkowo zajmował się kuśnierstwem. Wyprawał na białą skórę baranie, z których szył kozuchy i kiptary (serdaki). Z kuśnierstwa pochodził główny dochód rodziny Sitników, z którego utrzymywali się do wybuchu wojny. Dzieci Magdaleny i Józefa Sitników uczęszczali do szkoły. Tylko najstarszej córce, Emilii Sitnik, udało się ukończyć szkołę podstawową przed wybuchem wojny.

Jan Sitnik razem z rodziną okres okupacji przeżył w Kosowie i odległym od Kosowa o 27 km Zabłotowie. Po wyzwoleniu w 1945 r. cała rodzina postanowiła wyjechać do Polski, na Ziemię Odzyskane. Osiedlili się we wsi Jodłówka (obecna nazwa Doboszowice), w okolicach Kamieńca Żąbkowickiego.

W październiku 1946 r. Jan Sitnik został przyjęty do 3-letniego gimnazjum Ośrodka Szkoleniowego „Energetyk” w Nysie. Kiedy był w trzeciej klasie gimnazjum zapisał się do Oficerskiej Szkoły Łączności Radiowej w Sieradzu. Nie został przyjęty, gdyż miał opinię wroga ZSRR. Na opinię tę Jan Sitnik zapracował sobie głosząc prawdę o poczynaniach Rosjan i metodach NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) w latach 1939-1941. Na długo ta opinia przyłgnęła do niego uniemożliwiając mu przez pewien czas kontynuowanie nauki. Ukończył liceum w Nysie.

Po maturze dostał nakaz pracy w Elektrowni „Victoria” w Wałbrzychu, gdzie pracował w dziale Głównego Energetyka. W tym okresie został powołany do wojska, do samodzielnego dywizjonu artylerii przeciwpancernej w Jarosławiu, a potem skierowany do szkoły podoficerskiej łączności radiowej w Rzeszowie. Po przysiędze został pisarzem sztabowym w kancelarii ogólnej. W 1953 r. po rozwiązaniu dywizjonu, w którym służył, został przeniesiony do Pułku Artylerii Lekkiej w Przemyśle. W lutym 1953 r. z powodu złego stanu zdrowia został zwolniony do cywila. Do Wałbrzycha już nie powrócił.

Podjął pracę w Nysie, w dawnej fabryce mebli stalowych „Zachód”, jako starszy konstruktor oprzyrządowania w dziale technologicznym.

Pracował tam do końca lutego 1954 r. 14 maja 1954 r. zaczął pracę w Niemczy na stanowisku szefa produkcji, a po roku awansował na stanowisko kierownika Kontroli Technicznej. Po trzech latach został zastępcą szefa produkcji. Po likwidacji stanowiska szefa produkcji i jego zastępcy Jan Sitnik został przeniesiony do pracowni konstrukcyjnej i pracował jako konstruktor warsztatowy. Pracował tam do połowy 1982 r. kiedy przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Do utrwalenia swoich przeżyć Jan Sitnik namówiony został przez nieżyjącą już koleżankę ze szkoły podstawowej, Halinę Tkaczuk, oraz Krystynę Patrzykąt, Krystynę Pawełek i Edwarda Bienia ze Stowarzyszenia Kresowian w Dzierżoniowie, którego Jan Sitnik jest członkiem.

W wieku 84 lat Jan Sitnik spisał swoje wspomnienia obejmujące okres wojny i okupacji, czas, który pozostawił niezatarty ślad w jego pamięci.

Wspomnienia z Kosowa Huculskiego to pierwszy opublikowany zbiór prozy Jana Sitnika.

Wydawnictwo Bibliotheca Bielaviana
ISBN 978-83-936827-3-7